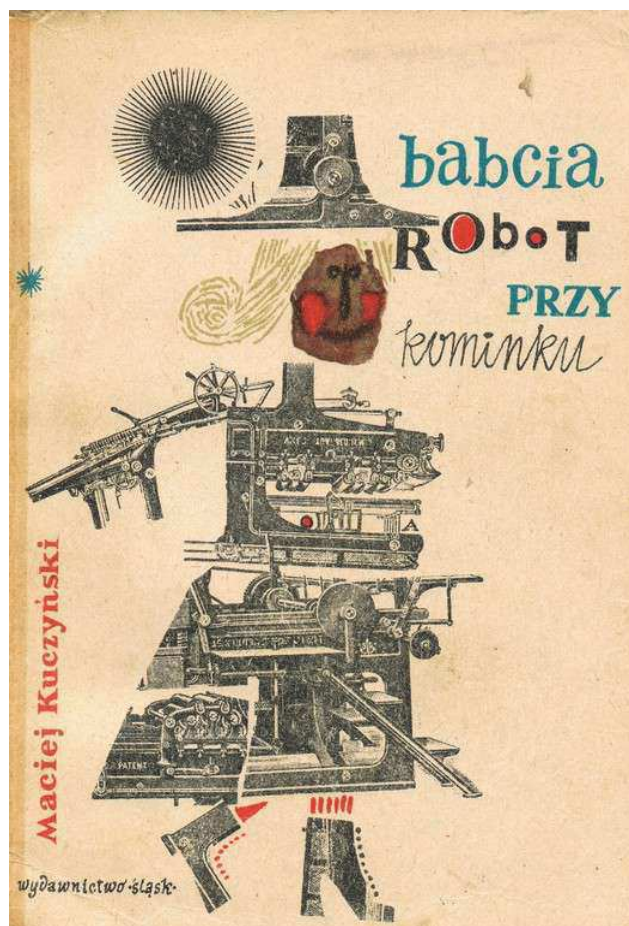


MACIEJ KUCZYŃSKI

BABCIA-ROBOT  
PRZY KOMINKU



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1963

## Babcia-robot przy kominku

Minie wiele, wiele lat, tak wiele, że nasze gorące Słońce będzie już tylko syczącym żużelkiem na wielkim ruszcie Wszechświata, a pyzaty Księżyc zmieni się w purchawkę gotową za lada dotknięciem rozsypać się w stęchły proszek co zapaskudzi połowę Układu.

Wtedy to, babcie-roboty grzejąc się przy nukleo-kominkach, będą opowiadały bajeczki wnuczętom-robotociętom.

A jedna z nich będzie taka:

Otóż, moje kochane, dawno, dawno temu, przed erami, przed wiekami, przed dawnymi bardzo laty, świat nie był jeszcze tak doskonały jak dzisiaj. Przeciwnie, był młody, pełen fermentu jak nieudana mieszanka olejowa i niepodobna było zgadnąć do czego zmierza. Chyba tylko sam Wielki Konstruktor raczył wiedzieć...

A wcale nie działa się dobrze. Ludzie zamiast brać przykład z robotów i pracować jak one, zaczęli się wykręcać opiłkami. Wszystko spychali na nas i wcale nie słuchali ostrzeżeń szepczanych im przez stare, skorodowane nianie-roboty, którym krajały się tranzystory na taki widok.

Wyobraźcie sobie, wnuczki moje, że nie chciało im się nawet chodzić! Łagodne roboty nosiły ich z miejsca na miejsce. Lecz skutek był taki, że zanim minął trzy razy po trzy okres Połowicznego Rozpadu, ludzie stracili zupełnie nogi. Teraz choćby chcieli, nie byli zdolni do zrobienia kroku... Hi hi!

Nie myślcie sobie, że na tym się skończyło — czas minął sześć razy po sześć i ludziom zmarniały ręce wskutek długiej beczynności. Ale i to nie było kalectwem w świecie przyjaćiół. Nosiliśmy ich, obmywali, karmili.

A musicie wiedzieć, moje małe, że dotknięcie człowieka było rzeczą bardzo nieprzyjemną, wstrętniejszą nawet niż krótkie spięcie. Brr... te wodniste ciała w zwiotczącej powłoce... Na samą myśl blacha się marszczy z obrzydzenia, lecz że trzeba kochać najbardziej nawet nieudane konstrukcje, roboty bez zgrzytania trybików nosiły przeznaczenie.

Długo, długo baśń się plecie...

W tamtych bardzo dawnych czasach, za górami, za morzami, za siódmym Księżycem, za dziewiątą Orbitą, żył Człowiek Który Miewał Świetne Pomysły. Mieszkał w ogromnym automacie i patrzył najczęściej w stronę czwartego wymiaru.

Ten Człowiek, tak jak wszyscy inni ludzie, był okropnie leniwy i tak jak inni łamał sobie głowę nad pytaniem CO JESZCZE USUNĄĆ, ABY ŚWIAT STAŁ SIĘ PROSTY JAK TABLICZKA MNOŻENIA? Ale nic wymyślić nie mógł, bo i czym? Wiedźcie, wnuczki, że mózg człowieka to taki stary i zużyty obwód, co to jest polutowany z zardzewiałych drutów, ma przetartą izolację, wyzarzone włókna w lampach i w ogóle nie wiadomo dlaczego działa.

Wtedy Człowiek Który Miewał Świetne Pomysły, wpadł na myśl, żeby zamiast głowić się samemu, zbudować ogromny mózg i zadać mu to ważne pytanie. Ludzie bardzo się ucieszyli, bo im się wydało, że bliska jest chwila kiedy się pozbędą już wszelkich obowiązków, a świat będzie doskonały.

Ale Ziemia była za mała i Układ Słoneczny był za mały i Galaktyka była za mała, żeby pomieścić Ogromny Mózg. Wówczas Człowiek Który Miewał Świetne Pomysły i był tak niemądry, że nie cofał się przed niczym, zaprojektował rzecz, na której wspomnienie jeszcze dzisiaj zamiera w robotach pole magnetyczne... Ni mniej, ni więcej zażądał, aby wprząc do pracy cały Wszechświat, całe Niczym Nieobjęte Uniwersum.

Tak się też stało i zanim trzy razy obrócił się Saturn, ruszyły pospieszne rakiety w siedem stron Kosmosu. Dniem i nocą odlatywały załogi robotów na trud i niewygodę. Krocie ich pograżały się w mroku. Krocie dążyły przez pustkę do wybranych miejsc w galaktykach,

mgławicach, obłokach materii jasnej i czarnej, do kulistych gromad gwiazd i pól antymaterii. A kiedy dotarły, jęły tam wznosić urządzenia, których rozmiar przekracza po dziś dzień wszystko co zrobiono.

Były tam lustra większe od mgławic spiralnych, obwody wzmocnień i komórki pamięci zawieszane pośród czerwonych i białych Karłów. Długo, długo by mówić o tym ile niebezpieczeństw zniosły roboty zanim przekształciły Uniwersum w Ogromny Mózg. I przyszła chwila kiedy już można było go uruchomić.

A jako układ wejściowy przyjęto mózg Człowieka Który Miewał Świetne Pomysły. Tak, tak, to musiało się dla nich źle skończyć. Pytanie pobiegło z Ziemi w siedem stron Kosmosu zamienione w strugi fal telematerii. Te dopadły kosmicznych zwierciadeł, a odbite od nich ruszyły ku tysiącu gwiazd, mgławic i galaktyk. I stało się w krótkim czasie, iż Uniwersum całe we wszystkich swoich wymiarach napełniło się bezgłośnym miganiem smug falowych, co jak strzały niedostrzegalne szyły pustkę, mróz i nieskończoność.

Burza prądów rozszalała się w przestworzu, a zdawało się, że wciąż ich przybywa, że wciąż się komplikują, przenikają po tysiąckroć, krzyżują. Od Daure w Althemidzie do Zarty w Pigmeju, od Tunkah do Al Tarfa! Nie było gwiazdy co nie miałyby w tym swojej roli. Wszechświat, Wszechświat zaprzęgnięty do pracy! Zaiste niezmierna jest cierpliwość Wszechświata.

Lecz niechaj nikt nie sądzi, moje dzieci, że Ogromny Mózg pracował szybko, o ho, ho! Przeciwnie! Trwało to bardzo długo nim rozproszone impulsy poczęły się zbiegać napowrót. Tak długo, iż ludzie zniechęceni czekaniem zapomnieli o podjętym dziele. Zapomniała też Człowiek Który Miewał Świetne Pomysły. Wszystko pozostawiono jak zwykle robotom. Przyjęły bez iskrzenia to nowe obciążenie.

I przyszła odpowiedź niespodziewanie i nagle, wtedy właśnie, kiedy nikt z ludzi już się jej nie spodziewał. Odebrał ją mały dyżurujący robot, głuptas ósmej klasy, który nawet nie był w stanie pojąć jej treści. Lecz sumienny jak wszystkie, zgodnie ze zwyczajem wziął blaszkę z wydziurkowanym pytaniem CO USUNĄĆ JESZCZE ABY ŚWIAT STAŁ SIĘ PROSTY JAK TABLICZKA MNOŻENIA i wybił pod nim odpowiedź: LUDZI, a następnie, bez zwłoki przekazał do automatycznego centrum wykonawczego...

Odtąd, drogie moje wnuczki, spokój panuje na Ziemi a świat jest DOSKONAŁY...

\*

— I co, babuniu, i co?

— I to już koniec bajeczki. A teraz podajcie mi album, tam na starej rycinie pokażę wam jak wyglądali ludzie.

## Exodus

Szef zapuścił brodę i natychmiast ma o dwieście lat więcej. W sumie wygląda na sześćset. Jeszcze trochę a i my porzucimy golenie. Nie sądzę, aby mógł to zauważyć...

Jestem daleki od mówienia źle o własnym Szefie — robiąc to mierzyłbym i w siebie, stanowimy wszak jedną załogę, jednej maszyny. Mimo to kiedyś nie wytrzymam. Jak długo można ukrywać co się myśli?

Nasz stary czerep ledwo się już trzyma. Od początku miałem najgorsze przeczucia. Na domiar złego śmierdzi. O, tym razem zostało mocno przesolone! Kto widział obwozić ze sobą ogród zoologiczny? A jeśli już, to mogli paskudztwo wysłać bez ludzkiej załogi. Teraz nawet specjalne odkażanie nie bardzo pomaga.

Zapach, zapachem, ale kiedy mówię, że tu coś pachnie, to znaczy to coś więcej niż

można wyczuć nosem ... Jestem przeciwny załogom mieszanym. Inna sprawa, że nikt mnie o zdanie nie pytał, a człowiek często woli siedzieć cicho.

Ale — o tym Układzie! Układ jak to zwykle — gwiazda centralna i dokoła sześć czy siedem zimnych planet. Tyle tylko, że to nasze odkrycie. Wszyscy twierdzą, że narobimy tym wiele sensacji. Może to i prawda.

Jeżeli wrócimy, bo słowo daję, nie dzieje się dobrze. Zresztą nie jestem aż tak pewny siebie, żeby wiedzieć co dobrze, a co źle. Na marginesie: nasza Biolog ma konkursowe nogi. Jakoś dobrze się składa, że od dawna Pilot wodzi oczami tylko za blond Telegrafistką.

Idziemy dużą szybkością. Nawigator twierdzi, że przejdziemy środkiem owego Układu a następnie zawrócimy do siebie. Swoją drogą nie jestem pozbawiony samokrytycyzmu, dokładnie widzę, że z takim Mechanikiem, jakim ja jestem, wyprawa nie powinna się dobrze skończyć. Trzeba będzie jednak okazać więcej zainteresowania tym co się dzieje w rakiecie i naokoło. Co prawda to i SzeF jakoś ostatnio nie ma do tych spraw głowy.

Do licha! Przysięgam, że takiego zapachu niepodobna długo wytrzymać! I dlaczego akurat ja muszę najczęściej myć klatki? Ptaki jeszcze jako tako, nie można odmówić im pewnej delikatności, ale tygrysy nie liczą się zupełnie z niczym.

No tak! Od dziś chodzę z zamkniętymi oczyma. Nawigator i Lekarka! Więc jednak. Powtarzam — to nie może się dobrze skończyć.

Miałem rozmówkę z koleżanką Biologiem. O nie, nic t a k i e g o! Wzięła mnie na bok, żeby coś zdradzić w zaufaniu. Wydaje się, że też... hm, zwróciłem jej uwagę. Ale nie o to chodzi. Twierdzi, że ostatnio SzeF bywa jakiś nieswój i oszołomiony, a chwilami porusza się jakoby miał zawroty głowy. Coś zażywa? Byłoby głupio wprost się dowiadywać.

Będę o wiele spokojniejszy gdy już zawrócimy. Mam zupełnie dosyć wycierania kątów w Kosmosie. I tak całe odkrycie się zmarnuje, bo wątpię czy koleżanka Astronom, albo kolega Nawigator zdołają tu jeszcze trafić. Ona całymi dniami wodzi wzrokiem za Starym, on z kolei snuje się z kąta w kąt za Lekarką.

Anieli niebiescy, co się dzieje w tej maszynie! Jak gdyby nie istniał żaden regulamin! Nigdy mnie nie uczono o takim działaniu podróży międzygwiazdnych. Z tego wyniknie jeszcze bardzo gruba historia. A podręcznik psychologii lotów dałem do zżarcia kozie. Nawet okładkę bestia pochłonęła.

Szkopuł w tym, że Stary jest coraz weselszy. Podśpiewuje, klepie każdego po plecach. Dobra jest! Niech sobie spaceruje tym tanecznym krokiem, nic mi to nie szkodzi. Przynajmniej nie zauważył, że opuściłem okresowy przegląd silników...

Nie powiem abym kochał to wyłażenie na zewnątrz. Pod tobą dziura, nad tobą dziura, głupio byłoby wtedy zgubić statek. Toteż wyłażę najrzadziej jak można. Bo i niewiele grozi dopóki silniki nie pracują.

Doprawdy, przyjemna dziewczyna! Szkoda, że biologia a nie coś bardziej technicznego. Ale trudno przebierać. Myślę, że się jakoś zdołamy porozumieć. Boże, co się ze mną dzieje, z nami wszystkimi? Jak to dotrze do bazy, nikt z nas więcej nie polecą.

A niby jak ma dotrzeć?

No i wiem już wszystko, chociaż jak mogę tak udaję, że nic nie wiem. Stary pije  $C_2H_2OH$ . Zrobił w laboratorium szklany aparacik i co z niego wykapie zbiera do menzurki. Jeśli go to rozwesela, proszę bardzo! Jak to na starość można zostać wynalazcą... Niech tylko nie ma pretensji, gdy coś nie jest zrobione.

Prawdę mówiąc, to rzeczywiście ich nie ma i właściwie nikt już nic nie robi.

Niebawem zacznę wykonywać moje dawne plany. Będę wypuszczał przez zawór bezpieczeństwa po jednym zwierzaku. Powietrze się oczyści, a mnie nic nie zarzuca. Na to trzeba złapać za rękę.

Nie zmartwiłem się wcale kiedy SzeF wydał rozkaz powrotu. Pierwszy raz od dawna usiedliśmy w fotelach. Pilot wziął się do sprawdzania przyrządów i według regulaminu od-

czytywał na głos wskazania. Na szczęście Starego też to drażniło i kazał włączyć silniki bez gadania.

Chwila była ważna, ale na co przesada? Ostatecznie wiadomo było, że kiedyś zawrócimy. Więc patrzyłem jak kładzie obie łapy na dźwigniach. Ruszył pierwszy silnik, drugi, trzeci. Wszystko szło normalnie. Stare pudło dygotało niby w gorączce i już myślałem, że nic się nie zdarzy, kiedy...

Eksplodował czwarty silnik na rufie, diabli wiedzą dlaczego. Nie byłoby to najgorsze gdyby nie urwał przy tym sterów. Zaraz to poznaliśmy, bo nasze głupie koryto jęło się zataczać jak zwariowane.

Ani Pilot, ani Szeff, ani Nawigator nie mieli widać całkiem czystego sumienia, bo jakoś niechętnie podnosili oczy. Bardzo dobrze — myślałem — bo najpewniej to jednak moja wina. Mogłem się być zdobyć na jedną kontrolę!

Początkowo nie bardzo rzucało. Każdy próbował ruszać dźwignie i naciskać guziki, do których mógł dosięgnąć. Niestety bezpieczniki były nieczynne. Zdaje się, że Stary potrzebował jakiejś części do swojego aparatu i wykręcił rurkę próżniową.

Silniki nie chciały teraz zgasnąć i szły na coraz większej mocy. Właściwie nie było sposobu, aby je wygasić.

Nie właściwie, a na pewno. Przyspieszenie skakało jak piłka, tłoczyło nas w fotele i dziw, że byliśmy przytomni.

Stary się zdenerwował, zaczął śpiewać psalmy. Trudno mieć mu za złe, bo i co mógł zrobić? Zaciskałem zęby powstrzymując mdłości. Co mnie pocieszało, to tylko nadzieja, że bydlęta w klatkach tego nie wytrzymają.

Kobiety były blade, my też, prawdę mówiąc, ale jakoś nikt nie wierzył, żebyśmy mieli zginać. Stary zamilkł, gdy się zorientował, że to jakoś niezręcznie śpiewać psalmy półleżąc.

Wiedziałem, że wszystko się skończy po kilkunastu minutach, gdy zabraknie paliwa. Żałowałem tylko, że nie mogę oglądać rakiety od zewnątrz, bo płomień wylotowy musiał być długi jak ogon komety, a to się często nie zdarza.

Za to nie odrywaliśmy oczu od ekranu. Telewizory jakimś cudem działały. Widziało się kawał nieba dokoła rakiety. Szła po jakiejś obłądnej spirali, zawracała i pikowała, a smuga spalin była tak splątana jak kłębek nici.

No i jak zapowiadałem, wszystko się nagle urwało. Wyszło paliwo a maszyna przestała tyłem zamiatać Kosmos. Poszła równo jak strzełił i mogliśmy już nawet odpiąć pasy. Aha, mieliśmy jeszcze jeden wstrząs — odłączył się cały sektor silnikowy, o mało sobie zębów nie wybiłem. Coś tam było jednak niepotrzebnie naciśnięte! Teraz, nawet gdybyśmy mieli paliwo, nie dałoby się nic zrobić.

Stary, pierwsza rzecz, pobiegł do laboratorium i widocznie nie wszystko się tam potłu-kło, bo wrócił w niezłym humorze i powiedział, że psalmy pomogły.

Pierwszy raz pomyślałem dobrze o naszym zwierzyńcu i nawet ucieszyłem się, że jest na statku. Jeśli mamy krążyć nie wiadomo jak długo w pustce, trzeba będzie coś jeść...

Pomyliłem się, nie ma mowy o krążeniu. Znaleźliśmy się za blisko tych planet i jedna z nich nas złapała. Nawigator wyliczył, że za kilkanaście godzin musimy w nią wyrznąć.

Nie jest tak źle dopóki mamy na dziobie mały silnik hamujący. Tym razem nikt mnie nie musiał namawiać — sam włożyłem skafander i wyszedłem dokonać przeglądu.

Nigdy jeszcze nie było mi tak nieprzyjemnie. Planeta była już wściekle blisko i ciągle miałem uczucie, że spadam na nią plecami a z góry jeszcze przyciśnie mnie nasza skorupa.

Ciekawy byłem czy da się tam jakoś żyć. Popatrzyłem na dół między stopami. Wypinała ku nam nadęty niebieskawy brzuch. Zdawało mi się, że widzę chmury, w każdym razie przesuwają się jakieś cienie, a część powierzchni błyszczała jak ze sreberka. Przypuszczałem, że to coś ciekłego.

Włączyliśmy silnik i jakoś poszło dobrze. Widać wszyscy sobie wzięli do serca kata-

strofę i postanowili nie zbywać roboty byle jak.

Miałem rację, że to coś ciekłego, bo chlupnęło jak byśmy wpadli do sadzawki. Przez chwilę było ciemno w iluminatorach a potem wyskoczyliśmy jak korek na światło i wtedy już było wiadomo, że cała podróż jest skończona.

Wszyscy stłoczyli się przy wziernikach i nic nie zobaczyli, bo sypnął deszcz. W rakięcie bębniło jak w blaszanej rynnie. Sami wywołaliśmy go przechodząc przez atmosferę.

Jak zaczęło padać, to lało już coś kilka tygodni, ale nie bardzo mieliśmy czas się tym przejmować, bo wszystkich ogarnął szal pilności i zabrali się do analiz i obserwacji. Chodziło o to czy będziemy mogli wyjść na zewnątrz.

Nawet nie spostrzeżliśmy końca deszczu. Rakieta osiadła na mieliźnie i wstrząs o mało nas nie zbił z nóg. Dopiero wtedy pobiegliśmy do okien. Wyglądało na to, że będzie gdzie postawić nogę.

Najnowsze odkrycie Biologa — od biedy będziemy mogli oddychać tutejszą atmosferą. Stary tak się rozczulił, że upadł na kolana i zaczął się modlić. Swoją drogą podobna sztuka nie zdarza się i raz na miliard, żeby tak wycelować!

Chcieliśmy zaraz otworzyć klapę i wyjść, nie było po co zwlekać, ale Stary zgodził się dopiero po próbie z ptakami. Zaczęły normalnie latać, a gołębie w ogóle straciły ochotę na powrót do klatki.

Jak tak, to w porządku! Opuściło się trap i jazda! Jakoś dziwnie było poczuć twardey grunt pod nogami i przez chwilę wciągało się ze strachem w płuca tę nową atmosferę. Wcale przyjemnie pachniało i w ogóle ładny był kolor nieba, taki jasny, naokoło dużo zieleni.

Poculiśmy się jak wypuszczeni z klatki i zaczęliśmy biegać między krzakami, ale Stary nas zawołał. Też był zadowolony a przy tym jakiś uroczysty. Oho! — pomyślałem. — Zaraz wysłuchamy przemówienia...

Nie powiedział nic nowego, to było jasne, że nas tu nikt nie znajdzie i nie możemy liczyć na pomoc ani na powrót. Tak jakby komuś z nas specjalnie na tym zależało! Powiedział, że wszystko musimy zacząć od nowa, własnymi rękami, że miną lata i stulecia i nasze dzieci uznają tę planetę za własną, ojczystą...

Zaskoczył mnie, staruszek, o dzieciach jeszcze nie zdążyłem pomyśleć! Spojrzałem na Biologa i zauważyłem, że się trochę zaczerwieniła. Gdyby Stary już tyle o tym nie mówił! No i skończył, bardzo zręcznie to wypadło, powiedział, że nie jest już Szefem, a tylko będzie naszym ojcem i od dziś koniec z Nawigatorami i Pilotami, wszyscy wrócimy do naszych prawdziwych imion.

Sam pierwszy powiedział, że ma na imię Noe, po nim Nawigator przypomniał, że się nazywa Set, a Pilot — Jafet.

Wtedy spojrzeli na mnie i powiedziałem, że jestem Cham i dodałem, że nie ma co dłużej zwlekać, tylko wypuścić zwierzęta z ARKI, niech same się troszczą o siebie.

Na tym kończę, bo co było dalej, to już wszyscy wiedzą.

## Trzy razy dziennie

A więc pan twierdzi, że powraca s t a m t a d...

— Istotnie. Chodzi mi o pewną osobę.

— Nie zajmujemy się poszukiwaniami.

— Pan mnie źle rozumie, Redaktorze, chodzi o kogoś z kim zetknąłem się tam właśnie.

— Kobieta? Mężczyzna?

— Tak, i to najbardziej zasługujący na to miano ze wszystkich mi znanych. Niestety, pozostaje t a m nadal.

— Niestety?

— Jest ofiarą niewiarygodnego wypadku. Życie ma swoje prawa i jeśli ludzkość osiągnęła dziś to, na czym jej najbardziej zależało — nie mogło obejść się bez ofiar. Jednak nie powinny one być ciche. Napiszcie o nim.

— Hm, mimo to nie mam pewności czy używając słowa „ludzkość” zdaje pan sobie sprawę z jego aktualnej treści.

— W rzeczy samej, moja długa nieobecność...

— Chcę powiedzieć, że jest nas na Ziemi nie więcej niż trzysta tysięcy. W tym blisko połowa, tak jak pan, zwrócona s t a m t a d. Tak więc dalszej deportacji ulegnie jeszcze około siedem tysięcy. Licząc zwroty osobników nie nadających się, pod koniec przyszłego tygodnia stan wyniesie mniej więcej sześć tysięcy pięciuset mężczyzn i kobiet — i tak już pozostanie dopóki przyrost naturalny...

— Nie miałem pojęcia, iż t o przybrało już takie rozmiary!

— Sam pan rozumie teraz bezskuteczność wszelkich szlachetnych usiłowań. Przy obecnym stanie umysłów ustało praktycznie wszelkie porozumienie między jednostkami ludzkimi. Takich rozmów, jak my obecnie, od dawna nikt nie prowadzi. Na koniec, aby rozwiać pana wątpliwości, powiem, iż gazeta nie wychodzi od dawna, sztyl redakcyjny jest pozostałością tego co nie wróci, a ja sam jedynym człowiekiem w tym gmachu... Był czas, że czytało nas trzydzieści milionów.

— Sądzę... sądzą, iż lepiej będzie jeśli już pożegnaj pana.

— Och, proszę zostać! Stawiam do pana dyspozycji ostatnią butelkę Bols V.O. Genver Gin! Może w zamian usłyszę jednak historię, z którą pan przybył? Sam lada chwila t a m wyruszę i za szczególnie krzepiącą uważam możliwość rozmowy z dżentelmenem tak opanowanym.

— Przyjmuję zaproszenie. Czy pamięta pan pierwsze dni „nowej ery”, jak to teraz nazywają?

— Któż je zapomni?

— Nie da się zaprzeczyć — byliśmy bezradni. Spadali jak grom z nieba, brali nas nie patrząc dnia ani godziny.

— My, dziennikarze, wiemy coś o tym.

— Najbardziej cierpiałem na myśl, że problemem staje się zachowanie prostej, męskiej godności. Dręczyła mnie świadomość, iż w każdej chwili mogę być zmuszony do chowania się w bramie lub ucieczki pod ławkę w parku. Dopiero lektura „Kodeksu dyplomatycznego” przywróciła mi równowagę. Autor twierdzi, że mężczyzna nawet w pozycji na czworakach może wzbudzać szacunek, jeśli dostatecznie silnie jest przekonany o swojej wartości.

— Prawdę mówiąc nie wiele było czasu na „wzbudzanie szacunku”.

— Istotnie. Odbywało się to błyskawicznie. Pomiędzy pierwszym uczuciem nieznośnego gorąca i odpływu sił, a załadowaniem przez automaty do certodromy, upływały sekundy.

— Ma pan to za sobą..

— Ziemię ogląda się jeszcze trzykrotnie, z pięciu, stu tysięcy i miliona kilometrów, w miarę jak wiruje pędząca machina. Następnie plamka planety wsiąka w tło nieba — dla większości ludzi na zawsze.

— Nikt jeszcze wtedy nie powrócił i wieści o losie porwanych były skąpe. Nasi najlepsi reporterzy dowiadywali się tyle tylko, ile zechciały ujawnić automaty Heltyów. Przyznać trzeba, iż mówiły prawdę.

— O, zapewne, nie wyglądało na to, żeby się z nami liczyli.

— Popelnię może niedyskrecję — w którym dniu pan się tam dostał?

— W szóstym, drogi panie, w szóstym. I byłbym prawdziwie rad mogąc usłyszeć co było potem. O ile panu to nie sprawi przykrości.

— Wciąż jestem dziennikarzem, jak długo stopami dotykam Ziemi. Niewiele jest

spraw, o których pragnąłbym milczeć. Oto co było: Zdaliśmy sobie sprawę, że towar idzie w cenę na rynkach Kosmosu. Władze notowały już po kilkanaście porwań każdej doby. Szukano środków obrony, jednak nic nie szkodziło automatom. Obstrzał atomowy, bakterie, gazy i napalm nawet ich nie drażniły. Pewnego rana rozeszła się wiadomość, że hodowcy w Kosmosie uznali nowy gatunek za szczególnie rarytas i z melancholią powtarzano, że Heltyowie, którzy z niebywałym sprytem zdobyli wyłączność dostaw, zrobią na nas kokosy. Ponoć powszechną ambicją stało się posiadanie okazu lub parki na własność.

— Czyż nie podjęto prób działania poprzez dyplomację?

— A jakże. Utworzono Unię Państw. Jej prezydium podjęło rozmowy z automatami. Zresztą natychmiast powstała Anty-Unia grupująca sędziwych profesorów pięciu kontynentów. Starcy ci podjęli uparty trud ostrzegania świata. Muszę przyznać, iż dziennik mój publikował niektóre z ich odezw, nie potrzebuję tłumaczyć, że pod delikatnym naciskiem pewnych kół... Mam tu pod ręką numer z czerwca, proszę posłuchać: „Nie pertraktować! Automat nie kocha, nie czuje, nie wie co serce, co litość, ale na mózgi — człowiekowi się z nim nie mieżyć!”

— Czy dobrze widzę? Ma pan również numer z siódmego czerwca...

— Mam wszystkie.

— Czy zamieszczano regularnie rejestr porwanych?

— Na pierwszej stronie!

— W takim razie powinna tam być wzmianka o mnie.

— Już czytam: „Wczoraj sześciu nieszczęsnych! Pierwszym był George Bolto z Singapuru, porwany z rikszy kiedy o świcie wracał do rodziny. O dziesiątej Londyn alarmował, że znikła Loina Ellstone, matka czworga dzieci. Wybiegła po mleko do furtki. O jedenastej padł ofiarą Hans Ezra Fennig z Amsterdamu, który wbrew radom krewnych i znajomych jął odsuwać żaluzje sklepu. O dwunastej dziesięć miasteczko Tepetl w Meksyku było widownią tragedii młodożenca Francisco Rodriguez Cowan — z podcieni kościoła wybiegł na plac miejski, aby schwytać toczony wiatrem kapelusz meksykański. O czternastej doniesiono z Thule, że Eskimos Okinok porwany został mimo ujadania dwunastu husky z zaprzęgu. Smutną listę zamyka ambasador Anglii w Hamaniu, sir Adlai Mc Langlen, który pięć po piątej kazał sobie jak zwykle podać herbatę na taras...”

— To ja, do usług pańskich...

— George Perrier, dziennikarz. Sądzę, iż bez przeszkód dokończymy zawartości butelki.

— A ja opowiadania, które zacząłem. Jestem to winien owemu człowiekowi. Mniejsza o nazwisko. Nie sądzą, aby jeszcze cierpiał. Nie da pan wiary, do jakich rzeczy ludzie potrafią się przyzwyczaić.

— Czy był pracownikiem dyplomacji?

— O nie! Nic podobnego. Spędzał swój czas pośród stołów nakrytych bibułą, pośród szaf z aktami, pan wie...

— Znam to. Herbata co dwie godziny, brzęk szklanek.

— Otóż właśnie. Porządny, uregulowany tryb życia i pracy. Wspomina to z nieukrywanym sentymentem. Miał dwie koleżanki otaczające s w o j e g o mężczyznę szczególną troską. Jak twierdzi, nawet ich nieustanna kobieca paplanina, sprawiała mu w końcu jakieś zadowolenie. W ostatnim dniu, wspomina, mówiły, iż kościoły są pełne, a jednak nie odnosi to skutku. Roztrząsały wypadek subdiakona, który uprowadzony został podczas procesji, mimo iż z rozpaczą czepiał się feretronu.

— Znam, przybrało to wielki rozgłos. A na drugi dzień przestało mieć wszelkie znaczenie. Wtedy właśnie ogłoszono treść porozumienia i wybuchł wielki hałas. My, dziennikarze, nie byliśmy jednak zaskoczeni. Ostatecznie jest rzeczą naturalną i w interesie hodowców, aby osobnik hodowany miał przy sobie kartę ze spisem wymagań co do trybu życia i najważności-



wszego menu.

— W tym punkcie zaczyna się opowieść mojego znajomego. Twierdzi, iż zrazu nie pojął właściwego sensu ugody. Przyznaje, iż umysł kobiecy dowiódł większej bystrości. Przycoczył pierwsze słowa sekretarek, jakie padły po głośnym odczytaniu w biurze dodatku nadzwyczajnego. „Niezwykłe! — zawołały — Teraz chętnie byśmy tam pojechały, gdyby tylko można wiedzieć co nas poza tym czeka... Kobieta musi być ostrożna”.

— To był największy dzień w życiu mojego pisma. Wypuściliśmy miliony egzemplarzy dodatku. Wiatr historii wiał poprzez hale drukarni, a w hałasie maszyn brzmiał tykot zegara dziejów. W sercach wszystkich rosło przeczucie nowej ery ...

— Mój rozmówca zwierza się z podobnych uczuć, przyznaje, iż znów kobiety sprowadziły go na ziemię. „Nie można! — zawołały — Nie można więcej wyjść na ulicę bez takiej i n s t r u k c j i!”

— Redakcyjne maszyny do pisania były w jednej chwili obłązione.

— Ba, nie sądzi pan chyba, że mój znajomy pozostał w tyle! W mgnieniu oka wkręcał do maszyny kartkę i stukał: NAMIOT Z ADAMASZKU, PRZESTRONNY, BIAŁY W PURPUROWE PASY, WYSŁANY DYWANEM KASZMIRSKIM... Sądzę, iż potrafię go doskonale zrozumieć. Z pewnością coś takiego tkwi w każdym z nas. A dalej: ŁAGODNY POWIEW NASYCONY WONIĄ MIMOZ, DALEKI ŚPIEW — APPASIONATA, OCZAROWANIE... Wyobrażam sobie, że w tej chwili spłynęło na niego coś, jakby natchnienie, twierdzi, że znalazł się w transie. TOWARZYSTWO — pisał — OSOBY PŁCI ODMIENNEJ, KOLOR OBOJĘTNY, TUSZA MIERNA, WIEK 17—22...

Dopiero wtedy dotarły do niego okrzyki sekretarek czytających przez ramię, musiało to być coś w rodzaju: „Wstrętny. Czułam, że on jest t a k i!”

— No, nie sądzę, aby się tym przejął.

— Ma pan rację, zajęty był wyłącznie pisaniem. Twierdzi, iż nie stworzył nigdy dotąd równie pasjonującego dokumentu. Zaczął się długi spis: MAZAGRAN, CHERRY BRANDY, CURVOISIER...

— Spodziewam się, że nie zapomniał o ZSIADŁYM MLEKU?

— Istotnie. Mówiłem już, że działał jak pod wpływem natchnienia. Nie sądzę aby pominął coś istotnego, tu nie mogło być omyłki. BIAŁE MIĘSO KURCZĄT DUSZONE W SOKU POMARAŃCZY, PSTRĄG NA SZAFIROWO Z NADZIENIEM Z PANTAREK GARNIROWANY KRAŻKAMI SEKUTII.

— Czy... czy wędka też?

— O, nie docenia go pan! Tam była SADZAWKA I PIĘĆ GATUNKÓW RYB, ANGIELSKIE WĘDZISKO, MUCHY BEDFORD SPECIAL N° 5, 6, 8. Kiedy zapełnił już kartkę, nie było siły, która mogłaby go utrzymać w biurze. Teraz o n i mieli pokazać co potrafią.

— To samo było wszędzie. Stracił pan wiele, nie widząc co się działo. Tłumy na ulicach. Pamiętam, pod oknami redakcji matka unosząca dziecko ku niebu, z kartką na szyi: SŁODKI GRYSIK Z WANILIĄ, SOCZEK Z MARCHWI...

— Był już na schodach, kiedy zaświtało mu CORSO Z KUROPATW W GIRLANDZIE FIGOWEJ SKĄPANE W VEUVE CLICOT.

— Byłem świadkiem i większych dziwactw.

— Spodziewam się. Musiało to być rozpętanie jakiejś dzikiej fantazji. W gruncie rzeczy każdy wydobywał z zakamarków duszy to, co tam tkwiło od dawna.

— Ba, mówiliśmy o godności męskiej — ta upadła zupełnie. Mój redaktor naczelny nie wahał się oświadczyć, iż gotów jest w klatce zwisać głową na dół z drążka, jeśli hodowca zapewni mu żądane warunki. Co prawda żądał niemało.

— Mam pewne podstawy, aby sądzić, że mój znajomy patrzył na całe to zamieszanie z pewną wyższością. Twierdzi, iż byli tacy, którzy zrywali ubranie, aby ukazać swą tężyznę i

zdatność do hodowli. W ogóle, musiało nastąpić zupełne odwrócenie nastrojów. Jak dawniej każdy rad był skryć się w mysiej norze, tak teraz, zaopatrzonej w INSTRUKCJĘ wylegał na środek ulicy i starał się zwrócić na siebie uwagę... Prawda! Byłbym zapomniał! Co pan sądzi o PIGWIE Z OCTU SMAŻONEJ NA MLECZKU GOŁĘBIM Z DODATKIEM MIODU OS LIBAŃSKICH?

— Bardzo atrakcyjne.

— Ostatni jego pomysł. Jestem przekonany, że zrobiłby karierę... I nagle, owo odstraszające uczucie gorąca, pot na czole, mgła przed oczami... Na wysokości miliona kilometrów zdarli z niego ubranie.

— Mam nadzieję, że nie było kobiet?

— Wyłącznie automaty. To ich zwykła praktyka. Nasz znajomy nie tracąc przytomności umysłu zapragnął się upewnić co do lojalności swoich w ł a ś c i e l i. Natychmiast otrzymał zapewnienie, że będzie potraktowany ściśle według umowy. Taka odpowiedź mogłaby zadowolić każdego — ostatecznie tamci znajdowali się na pozycjach absolutnej przewagi i nie m u s i e l i obchodzić się nami w podobnie delikatny sposób.

— Jak pan to mówi? NA MLECZKU GOŁĘBIM?

— Tak, właśnie! Przyzna pan, nie była to najgorsza perspektywa. Ja sam poczułbym się zupełnie uspokojony... NAMIOT Z ADAMASZKU, GIRLANDA FIGOWA... No tak, a tymczasem automat wpakował niepotrzebne już ubranie do jakiegoś otworu, pozostał tylko pasek papieru...

— Chce pan powiedzieć, że historia zbliża się do punktu kulminacyjnego?

— Cierpliwości! Otóż ów pasek wzbudził podejrzenie porwanego. Wolałby z pewnością ujrzeć zapisany własnoręcznie arkusz. Zaczął krzyczeć, na co automat oświadczył, iż t o zostało znalezione w ubraniu i posłuży zgodnie z przeznaczeniem jako instrukcja. Zupełnie ochrypnięty człowiek zdołał jeszcze szepnąć: „Nie ta kartka!” I znów wysłuchał uprzejmej odpowiedzi, że ubranie zostało już zniszczone z całą zawartością i naprawdę nie ma o co walczyć, bo oni m u g w a r a n t u j ą wszystko co tu napisane.

— Niech pan mnie nie dręczy!

— O, w ten sposób po prostu łatwiej pojąć co czuł tamten, kiedy automat podsunął mu przed oczy, zapomnianą, starą, zmiętą po długim noszeniu w kieszeni, receptę:

## OLEI RICINI TRZY RAZY DZIENNIE

### **Najwierniejszy przyjaciel człowieka**

Pap!

Zawsze mówię, że miałeś głowę na karku doradzając mi morze. Pewnie oczami duszy widziałeś mnie, Staruszk, w mundurze admirałskim... No, do tego jeszcze nie doszło, ale i tak możesz być dumny ze swojego Bunny — ostatecznie ilu to na świecie poruczników służy na N/P PASSAT, największej jednostce jaka kiedykolwiek pływała po morzach? Okręt, okrętem, zawsze można wynaleźć lepszy napęd niż atomowy, no i lotniskowce też się kiedyś przeżyją, ale nie wiem czy kiedykolwiek zdarzy się większa heca niż ta, którą oglądałem na pokładzie PASSATa. Szkoda gadać! Stawiam szóstkę przeciw jedyńce i śpię spokojnie.

Cały ubaw zaczął się w ubiegły piątek (wiadomo!). Szliśmy półgazem na NEE i kto był wolny od służby stał przy burcie łokciami rozparty na relingu i gapił się ile wlezie. Od nawietrznej podchodził do nas trzydziestotonowy, może, jacht. Pruł pod pełnymi żaglami, błyskał białym kadłubem i wielką, czerwoną cyfrą na żaglu. Chłopcy z sekcji celowniczej zaraz

wypatrzyli przez dalmierze, że tam damska załoga. Chciałem wejść na mostek zanim ktoś inny się przysadzi do tej nowej czterdziestokrotnej lunety, ale nie zdążyłem nawet kroku zrobić, kiedy zaskrzypiało w megafonach. „Wszyscy — rozległo się — Wszyscy oficerowie do dowódcy okrętu!”

No i dobrze, pal licha jacht z blondynkami... Żeby tylko wiedział o co chodzi? Odkąd wymyślili napęd nuklearny, całymi miesiącami nie wchodzimy do portu. No, a przy tym Pierwszy mógł coś powiedzieć Dowódcy o kocie. Takie rzeczy zawsze odbijają się na oficerach, chociaż diabli wiedzą kto zawinił. Ktoś wykradł Pierwszemu kota z kabiny i przywiązał mu do ogona balon meteorologiczny. Kot wybiegł na główny runway, a co zrobił krok, to go podrywało za ogon na wysokość pięciu metrów. Potem powoli opadał i jak tylko odbił się łapami od pokładu, znowu leciał w górę. Może by i nic nie było z tego, gdyby za którymś tam razem nie wylądował za burtą. No a PASSAT sunie swoje 45 węzłów i nikt nie będzie stopował stu tysięcy ton dla kota, choćby nie wiem jak miauczał.

„Panowie — powiedział Dowódca — otrzymałem radiogram o doniosłym znaczeniu. Nie jest wykluczone, że okręt przejdzie chrzest bojowy w warunkach znacznie trudniejszych niż ktokolwiek sądził. Do Ziemi zbliża się NOL czyli „Niezidentyfikowany Obiekt Latający”.

Nic przejąłem się takim gadaniem nic a nic, bo już nam nieraz zawracali tym głowy. Właściwie to już się niedobrze człowiekowi robi kiedy słyszy — latający talerz! Na szczęście stałem z boku i w ostatnim rzędzie i mogłem wyglądać przez okno. Bardzo w porę, jak się okazało, bo zobaczyłem jak Rudy i Pietruszka złapali ogromnego petreła. Tłukł ich skrzydłami aż pierze leciało, ale nie puścili. Uwiązali mu do dzioba nylonową żyłkę i wyrzucili za burtę. Myślałem, że się zerwie, z takim impetem odszedł na wiatr, ale żyłka wytrzymała. Petreł wywinął kozła, swoją drogą, że też sobie łba nie urwał! i leciał dalej uspokojony, jak latawiec na sznurku.

Wszystko o czym mówiło się na odprawie miało być ściśle tajne i obowiązywał zakaz informowania reszty załogi, ale i tak ledwo zdążyłem wyjść na pokład już mi bosman-matwoła: „Panie poruczniku, słyszał pan co mówią przez radio? Latający talerz!”

To był początek, ale co się działo potem! Wszyscy łazili z głowami do góry, chociaż nic nie było widać, i na każdą mewę pokazywali palcami. Różne rzeczy się mówiło na okręcie. Trzy tysiące chłopów załogi to jest z kim pogadać. Zawsze się znajdzie paru specjalistów od każdej sprawy. Lewandowski powtarzał, że nie ma co się cackać, niech się tylko pokaże coś podejrzanego, on siada do movikona i będzie rozkaz czy nie, wpakuje w to cały magazynek rakiet średniego zasięgu. Na szczęście Oświatowy zdołał mu wytłumaczyć, że to byłoby głupie. Zaś Olins, o którym mówią, że jego ojciec był kościelnym, zaproponował, żebyśmy zaczęli zbierać sreberka z czekolady i inne, bo może trzeba będzie wykupywać małe marsjanianka.

Aha, trzeba dodać, zresztą wiesz to Staruszku z pewnością, że oni nawiązali kontakt z Ziemią i zapowiedzieli, że będą lądować. Usłyszałem o tym przez radio przy goleniu. Właściwie mydliłem się dopiero i dlatego przyszło mi do głowy, że wszystko bujda — pewno reklama jakiegoś mydła, ale jednak nie. Odtąd radio już w ogóle nie nadawało żadnej muzyki, tylko ciągle apele i wezwania, żeby się uspokoić, nie wpadać w panikę, bo szosy już i tak zablokowane, a koleje i samoloty nie zdążą przewieźć wszystkich na wieś w ciągu paru godzin. A także, że armia czuwa i na razie nie będzie powszechnej mobilizacji, bo uczeni są dobrej myśli.

Słowo daję, zacząłem pierwszy raz żałować, że nie jestem na lądzie, aby obejrzeć to wszystko na własne oczy. W gruncie rzeczy na okręcie prowadzimy bardzo monotony tryb życia. W dodatku opuściło mnie szczęście. Przegrałem sześć kawałków, bo mi się wydawało, że sznur w wiadrze powinien pływać z pół godziny, a tymczasem utopił się już po minucie.

Ale ci bomba! Tego nikt się nie spodziewał! Wieczorem zmieniliśmy kurs i Dowódca kazał zwiększyć szybkość do 50 węzłów, a rano już nam powiedział, że suniemy w strefę

ładowania NOL i weźmiemy go na pokład ! Poleciał też przygotować okręt do dekoracji i mówił, że to wielkie wydarzenie, bo na naszych oczach ma się odbyć to, na co ludzkość czekała od dawna i od nas zależy jakie odniosą pierwsze wrażenie.

Po odprawie poszedłem się zdrzemnąć, ale nie zasnąłem, bo była bardzo ładna audycja i speaker mówił, że musimy potraktować tamtych po bratersku i koleżeńsku, w żadnym razie nie okazywać im wyższości, a już nie ma mowy o wyśmiewaniu, jeśli się okaże, że mają po trzy nogi i parę głów, w tym jedną pod kolanem. Cacy cacy, stary, myślę sobie, już my wiemy jak ich przyjąć i zabawić. Może przy tej okazji wpuszczą płęć na okręt? Czasem się to zdarza jak jesteśmy z oficjalną wizytą w jakimś porcie.

Jasny gwint, co się na tej łajbie działo! Już łeb pękał ze zmęczenia. Całą noc przyjmowaliśmy cywilów. Najpierw przyleciały cztery karawele pełne gazeciarzy i facetów z radia i TV. Ledwo to wylazło na pokład, już zaczęło się rozpełzać po okręcie jak robactwo. Każdy, ma się rozumieć, włókł za sobą jakiś kabel, albo dwa. W jednej chwili poczciwy PASS wyglądał jak ryba w sieci. Najlepiej było zagrzebać się w koi. Diabła tam! Ledwo zamknąłem oczy, już mnie wyciągnęli na górę. Ładował super-elektra z oficjalną delegacją ONZ i sędziami najwyższymi pięciu wielkich mocarstw — podobno tak zarządzili ci z NOL. Gościom trudno się sprzeciwić. Zachodziliśmy w głowę po kiego licha sędziowie...

Wszystko to w smokach i frakach znikło zaraz w apartamentach Dowódcy. Wygląda mi na to, że oni też nie bardzo wiedzieli o co chodzi, bo już do rana nie gasili światła. Krążyli tam, machali rękami jakby się kłócili. No, nie tylko to, bo stewardzi wynosili całe skrzynki pustych butelek.

Do świtu dekorowaliśmy okręt. Chłopcy malowali relingi, czyścili okucia i wieszali flagi kodu. Najbardziej współczuliśmy kucharzowi! Gruby Borys powiedział, że nigdy nie wiadomo co podać takim z NOL. „Każdy z was — tak nam wytłumaczył, bo pływał kiedyś po Grenlandii — każdy by się obraził, gdyby go poczęstować mydłem toaletowym, a dla Eskimosa to największy przysmak”. No i prawda. Jedyna pociecha, że jak wszystko zawiedzie, można jeszcze postawić butelczynę. Chyba, że i na tym się nie poznają, ale wtedy w ogóle nie ma z nimi co gadać!

Zaraz po wschodzie słońca przyleciał jeszcze jeden super, tym razem z grupą uczonych. Było trochę strachu, bo przy dobiegu zerwała się sieć nylonowa i całe towarzystwo wpadłoby do morza, gdyby Miotła nie zatrzymał maszyny w ostatniej chwili podmuchem sprężonego powietrza z baterii awaryjnej. Wysiadło potem ze trzydziestu starszych gości, takich z aparatami słuchowymi w uchu i o mało nie zadusili Miotelki brzuchami. Jakby to nie był jego obowiązek siedzieć na końcu dobiegu i naciskać ten guzik!

No i wreszcie koło jedenastej przyleciał półbatalion piechoty. Zły byłem, bo już i tak własnego kąta nie można było znaleźć, ale przeszło mi jak zobaczyłem wysiadającego Alika, z którym razem łaziliśmy do budy. Alik skończył uniwersytet, ale wcale nie udaje ważniaka. Od razu mi przypomniał, jak to urządzaliśmy wyścigi much z oberwanymi skrzydłami po tyczkach od fasoli. Woleliśmy to czasem od gapienia się na auta. Dopiero od Alika dowiedziałem się, że ci z NOL zażądali przez radio, aby im przygotować lądowisko na 36°14'11" N oraz 40 W i uparli się, że tam muszą. Cały szkopał w tym, że to jest środek Atlantyku! Nie było wyjścia jak tylko podstawić im największy kawałek pokładu jaki jest do dyspozycji. Przeprosiłem Alika i zaraz, pobiegłem powtórzyć to Normanowi, bo głupio gadał, że to chodzi o sprzętanie tamtych bez świadków!

Nie mogłem go znaleźć, dopóki nie zajrzałem do torpedowni. Było tam kilku jeszcze chłopców. Strasznie się zlekli, że ich nakryłem, bo nie wolno łowić ryb, a oni właśnie wyciągnęli na lince przez bulaj metrowego rekina. Wypatroszyli go, ale i tak miał dość siły, żeby jednym kłapnięciem paszczy obcinać kij od szczotki. Patrzyłem przez chwilę, ale ciągle nie chciał zdychać, więc wróciłem na pokład. Na dwunastą było zapowiedziane lądowanie NOL.

Trzeba im przyznać, że zjawili się punktualnie. Przedtem jeszcze włożyliśmy mundury

galowe i tysiąc trzystu ludu stańto wzdłuż obu burt. Na środku runwayu było wymalowane świeżo białą farbą wielkie koło, a od niego biegł w stronę wejścia do salonu Dowódcy kokosowy chodnik. Na razie łazili po nim ci wszyscy goście w smokingach i z drutem wychodzącym z ucha. Całą wieżę kontroli i dowodzenia obsiadły szczeniaki z TV i filmu, tylko czekaliśmy, aż któryś z nich spadnie i zabrudzi pokład. W zapadniach dla samolotów była ukryta na wszelki wypadek piechota. Wystawiali głowy na pokład, żeby się gapić, ale przed samą dwunastą spędzili ich na dół.

Ciągle piszę o NOL, ale to z przyzwyczajenia, bo niezidentyfikowany on już nie jest od chwili kiedy się odezwał. Wreszcie zobaczyłem go na własne oczy. Anteny radarowe obracały się jak zwariowane, chłopaki w obserwacyjnej mieli urwanie głowy. Dowódca zapowiedział, że jak coś przegapią, to nie wyjdą z kizia do końca służby, ale i tak nie pomogło. Słowo daję — nagle patrzymy a oni są między nami... Cicho się zrobiło, jak makiem zasiał, tak wszystkim zaimponowali. Nawet nie zdążyłem mrugnąć, jak już siedzieli w samym środeczku koła. Dowódca aż zbladł ze złości i obejrzał się w stronę obserwacyjnej, myślałem, że pięścią pogrozi, ale już nie wypadało.

Bardziej to było podobne do powiększonego prodżu niż do „obiekta”, ale to już ich sprawa. Ruch się zrobił wśród reporterów, trzaskanie kamer, warkot aparatów, błyskanie żarówek. Zwijali się jak w ukropie. Dobrze — pomyślałem — że ja nie muszę nic robić tylko się patrzeć. Bulka trącił mnie łokciem i spytał szeptem czy się domyślam gdzie z t e g o jest wyście. Kazałem mu być cicho, bo właśnie się zaczęło powitanie.

Z całego tłumu „smoków” wysunął się jeden i sunie po chodniku kokosowym trzymając oburącz wielką tacę z bochnem chleba i bryłą soli. Pięknie wymyślone. Podszedł blisko i czekał aż coś się otworzy i wyjdą ze środka. Wszyscy czekali. Pomyślałem sobie taką rzecz, że dostałem wypieków. „Pamiętasz, Bulka — szepnąłem — ten film z Cecile Noel?” „No! — powiedział i aż oczy podniósł do nieba — Myślisz?”

„A co, bracie — odpowiadam — wszystko możliwe, nawet to, że ze środka wyskoczy piętnaście par dziewcząt w trykotach!”

Bardzo długo nie wyskakiwały, za to jak rozległ się ten głos, to zapomniałem nie tylko o filmie, ale i wszystkich znajomych dziewczynach! W pierwszej sekundzie wydawało się, że to przez megafon wygłupia się ktoś z załogi. Nawet Zastępca się pomylił, bo zbladł, zakręcił się na pięcie i zniknął z pokładu. Niepotrzebnie. Gadali ci z prodżu, a tak wyraźnie, że rozumiało się każdziutkie słowo. Aż się do mózgu wwierało to gadanie. „Rozpoczynamy — mówili — sesję”. Żadnego powitania, nic tylko od razu „rozpoczynamy”. Nie jestem taki głupi, żeby nie zmiarkować co się święci — musieli zwężyć piechotę w zapadniach i nie chcą głowy wystawić. Wszystko jedno, myśmy ich nie zapraszali!

Ten gość w smokingu, z chlebem i solą nie wiedział co zrobić. Pot mu tak spływał z łysiny, że miał cały kołnierz mokry. Ja bym już dawno cisnął tacą o pokład, ale ten musiał być dobrze oblatany w oficjalnych hecach bo udał, że nic nie słyszy, tylko zaczął swoje przemówienie. Więc, że to pierwsze spotkanie Ziemi z Wielce Szanownymi Przybyszami z Kosmosu, że o niczym innym nie marzyliśmy, że przyjmujemy ich z otwartym sercem i takie inne rzeczy. Rozgadał się i coraz mu to gładziej płynęło, aż tu masz! Znowu rozlega się z tego prodżu: „Dobrze, dobrze, zostawcie te powitania, bierzemy się do sesji!”

Spojrzałem po chłopcach i widzę, że ich też krew zalewa, bo co to za chamstwo! Nie dość, że nosa nie wystawia, co jeszcze można darować, bo może go nie mają, ale jeszcze tak traktują starszego gościa! Mało im, że się wygłupia i gada do tego pudła, w którym nie wiadomo co siedzi? Błady już był jak jego własna koszula, ale jeszcze się opanował i próbuje tłumaczyć, że u nas takie zwyczaje i bardzo przepraszamy jeśli ich coś uraziło, ale na Ziemi nie był jeszcze nikt z Kosmosu...

Na to zadudniło w prodżu: „Nikt nie był? W porządku, zwróćcie się z zażaleniem do Centrali Galaktycznej, a nam nie utrudniajcie pracy. Otwieramy Sesję Wyjazdową Rady

Ochrony Planetarnej.”

Słowo daję, że jak nas tam było parę tysięcy ludzi, a drugie tyle schowane pod pokładem, wszyscy zgłupieli. Bo właściwie nie wiadomo czy śmiać się, czy zacząć strzelać? Tyle, że oni nie czekali co my zrobimy. Zanim smokingowcy coś postanowili, znów się rozległo: „Doszło do rzeczy niemożliwych, już nawet ludzkie imiona im dajecie...”

„Kapuję — szepnął Bułka. — Zaczynam trochę kapować o co idzie, tak mi się zdaje. To będzie coś ze zwierzętami”. Uff — odetchnąłem — Buła ma nosa. Zawsze wyniucha gdzie rzecz leży. Teraz jesteśmy w domu! Nie żaden NOL, tylko panusie z Ligi co to potrafią zatłuc parasolkami przechodnia za to, że brzydko nazwał gołębia, który mu narobił na kape-lusz...

Spojrzałem w stronę Dowódcy, czy też się już zorientował, ale on nawet nie patrzył co się dzieje. Miał zmarszczone brwi, przygryzał wargę i czytał radiogram. Już w parę chwil potem wiedzieliśmy, że baza wzywa starego do zachowania spokoju i nie używania siły. Podobno nad każdym kontynentem patroluje taki jeden prodiż. W dodatku jacyś zwariowani Francuzi w gorącej wodzie kąpani, nie wytrzymali i rąbnęli parówkę z musztardą, jak my tu nazywamy dwustopniowe z głowicą, no i rzecz jasna nic nie wskórali. Jak się chmura rozeszła, prodiż wisiał na swoim miejscu nawet nie osmalony. Teraz mają za swoje, nie mogą się pozbierać ze strachu, że im coś na głowę spadnie.

Nie, to nie panusie. Tu przelewek nie będzie. Spokojna głowa, że i piechota nie pomoże. Gdyby tylko wiedzieć o co tak naprawdę im chodzi! Może i o zwierzęta, mało to różnych fanatyków? W porządku — pomyślałem — mogę się trochę zastosować jak im na tym zależy, ale jak wytłumaczyć Chińczykom, żeby przestali wcinać smażone dżdżownice z szarańczą, albo Francuzom wybić z głowy ślimaki?

Co powiedzieli dalej? Proszę bardzo, ni mniej ni więcej tylko: „Znosi się czas ochronny na was!” Ledwo ucichło w prodiżu, już ten facet z chlebem i solą oddał tacę za siebie, zrobił krok naprzód, musiał być całkiem zdesperowany, poczerwieniał jakby mu się wszystko w środku gotowało i oznajmił przez zęby, że jest stary, doświadczony i dlatego go wysunięto w imieniu i te de, że owszem, jesteśmy gotowi rozmawiać, ale nie w ten sposób, bo to przeczy... Czemuś tam przeczy, mniejsza, bo zanim skończył już zagrzmiało: „Wszystko pięknie, ale dyskutować to sobie będziecie jak my odlecimy, a teraz przyjmijcie do wiadomości, że jesteście zbyt dokuczliwi dla innych. Do czego by to doszło, gdyby was dłużej chronić?”

„Co chronić! Kogo chronić! Ludzi?” Słowo daję, że się staruszek zaperzył, a my wszyscy zaciskaliśmy tylko pięści, bo dobrze zaczął, żaden z nas by tego lepiej nie zrobił, połykaliśmy ślinę z emocji. A tamci: „Pewno, że ludzi! Co myślicie! Zdaje się wam, że z waszymi trzydziestoma dwoma zębami i paznokciami, które się łamią kiedy się podrapiecie w głowie, moglibyście coś wygrać?”

„Zależy kto — mruknął Bułka — jeden Murzyn w cyrku gołymi rękami zadusił pumę...” „Powiedz to, Bułka!” — trąciłem go, ale to nie było potrzebne, bo staruszek nie zapomniał języka w domu. „Zdaje mi się — powiedział — że tu wchodzi w grę jeszcze inteligencja...” „Tak? — mówią tamci. — Tak myślicie? No to jesteście ciężkie frajery!” Dosłownie tak nie powiedzieli, ale coś w tym gatunku. A staruszek: „Jesteśmy, nie jesteśmy, a i tak się potrafimy obronić!” Oho! — myślę — Zaczynamy grozić. I patrzę w stronę zapadni, a tam już piechota głowy wystawia czy ich kto nie potrzebuje. „A tak! — woła staruszek. — Utrzymamy je z daleka, i jak jeszcze... Te bydłeta!” Przeholował trochę z tą pewnością siebie, lepiej było w pokorę uderzyć dla zmylenia przeciwnika, no i przyszła odpowiedź bardzo dziwna: „Jeden miliard mrówek — powiedzieli — półtora miliarda moskitów, os i szerszeni, jeden przecinek siedem miliarda szczyprawek, skorków, jadowitych pajaków, trzy miliardy innych drobnych owadów gryzących, kłujących, szarpiących, jak chrząszcze, pluskwy itp. Razem siedem i pół miliarda okazów, wiecie co to znaczy?” „Nic nie chcemy wiedzieć!” — krzyknął staruszek. „W porządku — odpowiedzieli. — To znaczy, że tyle wypada na jednego

człowieka, na każdego człowieka na kuli ziemskiej. Nie licząc — mówią — piranii, szczupaków, raków, krabów (po 12 tysięcy par kleszczy) no i węży jadowitych i duszących (po około trzysta metrów bieżących na główkę)...”

Jakoś się cicho zrobiło na pokładzie, musiało być gorąco, bo pomyślałem, że chętnie bym rozpiął kołnierzyk, gdyby nie regulamin. Nawet tym z gazet opadły ręce z kamerami i notesami. Pierwszy raz pomyślałem, że może być krucho.

Tymczasem starszek dostał do ręki ten radiogram co go czytał Dowódca i który myśmy już znali. Zmiał go, tupnął nogą. „Zwykła granda — zawołał. — Wątpię czy gdziekolwiek mogą być tolerowane takie zwyczaje. To korsarstwo! Zarzucacie nam różne rzeczy, a sami używacie przewagi technicznej, lepiej od razu nas wykończcie!”

Z tym to się nikt nie zgodził, szmer się rozległ, a nawet z wieży dowodzenia ktoś gwizdnął. Przewaga przewagą ale i tak wiedzieliśmy, że jeżeli się nie da inaczej, to będziemy się bili do końca. Komu tam w głowie było dać się wykończyć! Połowa załogi kończyła w tym miesiącu służbę i miała zejść na ląd.

Chłopcy tylko zezowali na Dowódcę czy głową nie da znaku. Ale stał błądy i zaciskał szczęki, aż mu coś takiego ruszało się na policzku. Z tego wynika — powiedziałem sobie — że ten prodż to twardszy orzech niż się wydawało, diabelne pudło!

Panowie dyplomaci naradzili się między sobą i nagle kilku z nich podeszło do kolegi starszka, wzięli go pod ręce i próbowali odprowadzić na bok, żeby już nic nie mówił, bo stracił panowanie nad sobą. Nic nie wskórali. Krzepki starszek czerwony jak burak wyrwał się i jeszcze bliżej prodżu stanął tak, że nikt nie śmiał za nim postąpić kroku.

Tamtym musiało się to jednak spodobać, że sam jeden im się sprzeciwia, a może zlekli się, że za ostro zaczęli, bo poszli na ustępstwo: „Owszem — mówią — przedłużymy wam okres ochronny, ale warunek — pokażcie choć jeden gatunek, który się wstawi za wami, proszę bardzo, może jest taki co się z wami zaprzyjaźnił, co z wami chętnie współżyje?”

Pluskwy! — od razu mi się wyrwało, ale zanim mnie Bułka kopnął, już sam wiedziałem, że plotę głupstwa, jaka tam przyjaźń z tym paskudztwem, chłopcy trzymają je po pół roku zalepione w gumie do żucia i zakładają się czy odżyją... To na nic, ale pocieszyłem się, że są tu jeszcze inni. Słowo daję, chociaż to wygląda nieprawdopodobnie, słyhać było jak pracuje dwa tysiące mózgów i drugie tyle pod pokładem. Coś z tego musiało wyniknąć! I wynikło, tylko zupełnie inaczej niż wszyscy myśleli.

Pod pokładem rozległ się jakiś dziwny odgłos, coś jakby jęk czy płacz. Zmieniliśmy się w słuch, bo to mogła być ich nowa niespodzianka. Niemowlę czy co? Skądże! To była suczka Dowódcy, szpic z zakreconym ogonem, zamknięta w kabinie. I wtedy olśnienie! Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby dwa tysiące ludzi pomyślało równocześnie to samo. Dwa tysiące głosów krzyknęło: „PSY!!!” a potem „HURRAH! i jeszcze raz HURRAH! i znowu HURRAH!!!” I odetchnęliśmy, bo nareszcie zdawało się że jesteśmy u siebie w domu! Niechby nam ktoś powiedział, że jest inaczej... Powinni szybko zabierać się z tym prodżem, ogon pod siebie (może dwa?) i spływać w swój Kosmos, bo marynarzy długo się nie utrzyma, już i tak zaczynają pasy poprawiać u spodni...

...Musiałem przerwać, Pap, teraz kończę po paru godzinach. Już nikogo nie ma na okręcie. Jak tylko zniknął prodż zabierając suczkę Dowódcy, wszyscy cywile rzucili się do samolotów. W pół godziny znikły za horyzontem. Słowo daję, myślałem, że mi się to wszystko śniło. Bułka tak samo, zresztą wszyscy chodziliśmy jak nie z tego świata. Chłopaki wylewały sobie wiadra wody na głowę, żeby oprzytomnieć. Jak tylko się trochę uspokoiło, usiadłem spisać wszystko, obiecałem ci, Pap, że co miesiąc dostaniesz list. No, takiego jeszcze nie miałeś, chociaż boję się, że jednak go nie dostaniesz. W każdym razie włożę go do koperty i zalakuję.

Wyobraź sobie jak dojechałem z opisem do tego miejsca o suczce, zaczęło się ze szczurami. Musieliśmy wszyscy uciec na pokład. Pogryzły mi bestie łydki, jasny gwint, a mówiło

się, że marynarka nie wie co to szczur na okręcie. Więc stoimy wszyscy na pokładzie i kombinujemy jak wydobyć z zapadni samoloty, chociaż to i tak na nic, bo te wściekłe gołe ogony pewnie pocięły linki sterowe.

Pap, strasznie mi przykro, musicie też być w strasznych opałach, a ja nic wam nie mogę pomóc. Mógłbym wrzucić do morza flaszkę z listem co i tak się na nic nie przyda, bo ją połknie któraś z tych bestii... Olins mówi, że ich jest ze trzydzieści tysięcy. Morze pieni się jak po sztormie. Okręt przestał się posuwać. Lewandowski jeszcze nie stracił ochoty do żartów, zgadnij — mówi — ile by trzeba kijów od szczotek, żeby im zęby połamać? Poczujemy się tym tylko, że koty nie umieją pływać na długich dystansach. Za to chłopcy wypatrzyli jak od zachodu zbliża się ciemna chmura i to diabelnie szybko. Już nie wierzę w chmury, zamykam butelkę, bo jeśli się okaże, że to petrele z całego Atlantyku... Jestem zniechęcony, Pap.

Aha, wiesz starszku, co odpowiedzieli, jak zaczęliśmy wołać hurrah? „Nie ma co ukrywać dłużej — powiedzieli. — Nie macie się co łudzić, nie liczcie na psy, wcale im nie sprawiało rozkoszy życie z wami. Spełniały cholernie trudny i uciążliwy obowiązek inwigilując was na polecenie Straży Galaktycznej.”

## Czerwonogłowi

Kaskady śmiechu wypełniły pokój i poprzez szeroko otwarte okna popłynęły daleko w noc. Właśnie Jolson skończył swoje rozśmieszające opowiadanie i teraz on jeden zdolny do zachowania powagi popijał musujący płyn wlepiając we mnie sponad szklanki uparte spojrzenie. Pomyślałem więc, że przyszła moja kolej i westchnąłem ze smutkiem, bowiem uświadomiłem sobie, iż najzabawniejsze historie, jakie zachowałem w pamięci, muszą pozostać na zawsze tajemnicą moją i moich klientów.

— Nie bądź nudziarzem! — odezwał się na to Jolson, jakby czytając w myślach. — Większość tych dostojnych dam i czcigodnych dżentelmenów, którym udzielałeś porad, już dawno nie żyje, zresztą nie musisz wymieniać nazwisk ani miejscowości... Nieprawdaż, panowie? — zwrócił się uprzejmie do pozostałych.

— Pewno! — wybuchnęli hałaśliwie. — Nie bądź nudziarzem, stary, wal śmiało!

— Dobra — odrzekłem. — Tylko dajcie mi zebrać myśli...

— Kim on właściwie był? — zapytał rumiany jegomość przyprowadzony przez Jolsona, patrząc na mnie. — Lekarzem?

Ben zwrócił się ku niemu gwałtownie:

— Nie wiesz? Adwokatem! Diabelnie dawno, to prawda i mało kto pamięta, że prowadził obronę w pierwszym procesie kosmonautów!

— Może być i o tym — zgodził się jegomość. — Byle zaraz.

Ale ja nie miałem zamiaru o tym mówić, bowiem pamięć nasunęła mi obraz sprawy, która bardziej niż inne musiała zasługiwać na miano przedawnionej.

— Było to — powiedziałem — przed pięćdziesięciu laty...

— Głupstwo! — ryknęli chórem.

\* \* \*

Otóż, panowie, zaczęło się to pewnego wieczora, odległym i stłumionym brzęczeniem dzwonka. Miałem już wówczas dość rozległą praktykę, panowie, i ten dźwięk zwiastujący przybycie klienta nie budził mojego nadzwyczajnego entuzjazmu. Tkwiłem więc nieporuszenie za stertami akt zawałających biurko, nad słuchując apatycznie szybkich kroków panny el... el... tak, panny Leveux, potem zgrzytu zamka i odgłosów rozmowy. Wiedziałem doskonale co



teraz nastąpi — ciche stukanie do drzwi gabinetu, a potem skrzypnięcie zawiasów, które poprzedza niezmiennie zjawienie się bladego oblicza panny Leveux z błyszczącymi w półmroku kręgami okularów i zaciśniętymi ustami, które zapytają: „Czy pan mecenas przyjmie pana ..

Nie, panowie, nic z tego nie nastąpiło; w przedpokoju rozległ się rozpaczliwy odgłos krótkiego szlochu czy łkania, jakby zduszonego paraliżem strachu, łoskot przewracanego krzesła, a na koniec niczym już nie krępowany, przeraźliwy, histeryczny, wibrujący na najwyższych, szarpiących nerwy tonach, wrzask panny Leveux:

— PRECZ, SZATANIE!!! PRECZ Z MOICH OCZU, KUSICIELU!

Zdumienie, tak, i mrozące krew przerażenie przygwoździło mnie do krzesła, panowie, lecz już w następnej chwili tygrysim skokiem dopadłem drzwi i szarpnąłem za klamkę. Wrzask ścichł jak nożem ucięty, ale jeszcze przez chwilę wargi panny Leveux poruszały się jakby siłą bezwładu wyrzucając cichnące, zniekształcone słowa straszliwych, ostatecznych zaklęć. A ona sama, panowie, panna Leveux klęczała w odległym kącie przedpokoju, wciśnięta za przewrócone krzesło, ręką sztywno wyciągniętą odpychając od siebie nieznane mi niebezpieczeństwo. Pałające, ba, gorejące i mordercze spojrzenie, w którym nie było już jednak cienia trwogi, lecz tylko beżmierna pogarda i triumfujące wyzwanie, utkwiła w przestrzeni, gdzieś obok mnie. Oniemiały, poszedłem spojrzeniem za jej wzrokiem, powoli obracając głowę i wówczas zobaczyłem to co i ona, panowie. Obok wieszaka z lustrem, opuściwszy oczy stał... profesor Hamilton, panowie. Tak, tak, ten sam właśnie. Stał tam, a właściwie tkwił dzierżąc oburącz poły swego płaszcza i otulając się nimi szczelnie aż pod brodę, jak gdyby panował tam nie wiadomo jaki ziąb.

Wydał mi się spłoszony i zalekniiony. Nie raz już do mego domu przybiegali ludzie w zupełnej desperacji, aby szukać pomocy. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż to jeden jeszcze... A przecież był to profesor Hamilton, który przeżywał w owym czasie szczyty popularności. Właśnie powrócił na Ziemię z wyprawy dokołaślonecznej. Nikt z ludzi, oprócz zwariowanej panny Leveux, nie mógł z nim mieć poważnie na pieńku... Nikt z ludzi... — a jeśli, jeśli to nie byli... Stałem tam milcząc, panowie i czułem jak drobny dreszczyk przebiega mi po plecach. Mówiono, iż członkowie ekspedycji nie wszystko ujawnili w raportach...

Zaś profesor Hamilton stał również bez ruchu. Był czerwony na twarzy, panowie, ale to mało powiedzieć czerwony — był purpurowy! Zdawało się, że krew tryśnie wszystkimi porami skóry. Jestem pewien, panowie, że nawet mali chłopcy w szkole przyłapani na najgorszym gorącym uczynku, nie potrafią się tak czerwienić jak to uczynił profesor Hamilton owego wieczora.

— Lepiej już sobie pójdę — wyszeptał i poruszył się w stronę wyjścia.

— Ależ! — zaprotestowałem odzyskując mowę. — Chyba zechce pan wyjaśnić co tutaj zaszło?

— W rzeczy samej — wyszeptał zmieszany. — Rzecz prosta, że zechcę. Zresztą — rzucił z determinacją — po to przyszedłem!

— Czy pani — zwróciłem się teraz do panny Leveux — potrzebuje pomocy?

Nie uczyniłem zresztą najmniejszego kroku w jej stronę. Przeciwnie, patrzyłem, nie ma co ukrywać, ze złośliwą satysfakcją jak podnosi się obciążając suknię, z wypiekami na bladych zwykle policzkach, czujna i uzbrojona już wewnętrznie przeciwko nowemu atakowi szatana.

— Potrafię sama się obronić — odparła panna Leveux sznurując usta i nie spuszczać z Hamiltona pałającego wzroku jąła się wycofywać tyłem ku schodom wiodącym na piętro. „Dałbym wiele — pomyślałem — aby wiedzieć co ją tak przestraszyło. Czyżby profesor zachował się nieodpowiednio?”

— Proszę! — zwróciłem się do Hamiltona. — Niech pan wejdzie do gabinetu, a tutaj można zdjąć płaszc...

— NIEE! — przeraźliwy, ostry jak brzytwa krzyk panny Leveux sparaliżował mnie i sprawił, że poczułem się nieswojo, panowie. Z dużym, co tu ukrywać, z wielkim niepokojem podniosłem wzrok na pannę Leveux, która stała już na stopniach oburącz trzymając poręcz, zza której wychylała się ku Hamiltonowi przygważdżając go sztyletami spojrzeń.

— Niech pan już lepiej nie zdejmuje — szepnąłem.

— Tak, tak — odparł. — Nie mam zamiaru — i wśliznął się do gabinetu a ja za nim.

## Guzik

Siedzieliśmy już naprzeciw siebie, panowie. On wciąż sztywny, otulony po uszy, zwracając ku mnie tkwiącemu za biurkiem szczupłą twarz, z której odpływały fale czerwieni, ustępując miejsca przeraźliwej bladości. Siedzieliśmy właśnie, kiedy rozgłośny huk wstrząsnął domem. Zadrżały szyby, a gdzieś w kącie osypał się tynk ze ściany. Zmartwiałem, panowie, nie wiedząc co za nowa niespodzianka mnie czeka, lecz wówczas na wargach profesora pojawił się błądy uśmiech.

— Myślę — powiedział — że to było trzaśnięcie drzwiami, zdaje się, że ta dama opuściła dom.

Tak było w istocie, panowie. Panna Leveux wybiegła na ulicę niby furia, jak to później opowiadano i puściła się przez miasto biegiem, szerokimi łukami omijając napotykanych mężczyzn. Zresztą, nie należy to już do naszej opowieści.

Byliśmy sami i spodziewałem się, że Hamilton wyjawia mi tajemnicę swego płaszcza.

— Jestem — szepnął — w sytuacji bez wyjścia, jak to mówią „zapędzony w kozi róg” i teraz liczę tylko na pana...

— Proszę mi powiedzieć — rzekłem dobywając głosu jasnego i mocnego, jakiego zwykłem być używać dla skłonięcia klientów do zwierzeń — proszę mi powiedzieć szczerze i bez ogródek: czy popełnił pan jakieś przestępstwo, profesorze?

— Ba — uśmiechnął się — w niedługim czasie, będę miał co najmniej tuzin spraw sądowych, na to nic nie poradzimy, chociaż jestem równie niewinny jak sędzia, który wpakuje mnie do aresztu, ale otóż to — zanim zostanę zamknięty, chciałbym... chciałbym powiedzieć panu tajemnicę...

Profesor pochylił się nieco w moją stronę i wówczas usłyszałem jak coś stuknęło o podłogę. Opuściłem wzrok i ujrzałem, tak panowie, ujrzałem jak zza biurka wytacza się czarny guzik, zakreśla koło, potem coraz ciaśniejszą spiralę i przewraca się na środku pokoju. Nie dałem po sobie poznać, iż dostrzegam cokolwiek, profesor zdawał się też nic nie zauważać.

## Płaszcz

— Przed tygodniem — ciągnął — a może było to nieco dawniej, wysłałem do redakcji wydawnictw naukowych maszynopis mojej świeżo ukończonej pracy. Był to plon dziesięcioletnich badań, dociekań, eksperymentów i obserwacji. Gdyby praca została ogłoszona drukiem tak, jak to było umówione z wydawnictwem. stałaby się największą rewelacją naszych czasów, tak, nie waham się stwierdzić, iż byłaby wstrząsem dla wszystkich — nie tylko ludzi z wąskiego grona naukowców. Lecz cóż z tego! — wykrzyknął żałośnie profesor Hamilton — Nie dalej jak wczoraj odebrałem zwrot przesyłki z listem wydawnictwa. „Sądzimy — pisali — iż zawartość paczki znalazła się w niej omyłkowo i niebawem prześle nam pan obiecaną pracę”. Pełen najgorszych przeczuć rzuciłem się do zwróconej paczki, zerwałem sznurki i wówczas ze środka posypał się biały proszek papierowy... Sypał się ze stołu na podłogę zbie-

rając w niewielki kopiec. Rzuciłem się na kolana i zaczerpnąłem w obie dłonie to, co było teraz jedynym plonem dziesięcioletniej pracy. Nie, panie mecenasie, nie ma wątpliwości, znalazłem skrawki papieru, na których dało się odczytać po kilka liter, to było to właśnie.

— Ależ! — przerwałem profesorowi. — To niemożliwe, aby miał pan jeden tylko egzemplarz!

— Otóż to, drogi panie, otóż to! I ja się łudziłem przez chwilę. Ale złudzenia prysnęły gdy otworzyłem biurko — pozostałe egzemplarze maszynopisu, bruliony z notatkami, rysunki, fotografie, słowem całe moje archiwum dotyczące tego właśnie problemu, zmieniło się w miazgę proszek...

Hamilton zamilkł, panowie, a ja, aby pomóc mu w odzyskaniu równowagi, wstałem i z sąsiedniego pokoju przyniosłem dwie szklanki zawierające mocny i pokrzepiający płyn.

— Taak — rzekł z zamyśleniem Hamilton — to dopełniło miary, nie pozostało mi nic innego jak przyjść do pana.

— Czy podejrzewa pan kogoś? — rzuciłem szybko.

— Czy podejrzewam? Cha cha! — zaśmiał się krótki i gorzko. — Ja mam pewność! Ba, wiem dokładnie kto i dlaczego, i jestem o tym równie mocno przekonany, jak o tym, że siedzę tu przed panem i trzymam w dłoni szklankę, o którą dzwonię zębami z podniecenia.

Spojrzał roztargniony i zapomniawszy o tym co przed chwilą kazało mu się szczerze owijać, wstał i zsunął płaszcz z ramion. Wówczas ujrzałem to, co zapewne przede mną dostrzegła panna Leveux. Wraz z płaszczem rozchyliła się marynarka profesora, pod nią kamizelka, także i koszula, i profesor przez kilka sekund świecił obnażoną, chudą i kościstą pierśią. Moje pełne zdumienia spojrzenie powiedziało mu, że coś jest nie w porządku, spojrzał po sobie i gwałtownie zaciągnął poły marynarki. Płaszcz nie próbował już włożyć.

## Gąsienica

— Widzi pan — mówił z rezygnacją — widzi pan do czego doszło? Nie mam tu ani jednego guzika, a przysięgam panu, że wychodząc z domu sprawdzałem je wszystkie i były na swoich miejscach.

— Czy chce pan powiedzieć — zapytałem przyciszonym głosem, dumny ze swojej przenikliwości. — Czy zechce pan powiedzieć, że istnieje związek pomiędzy zniszczeniem maszynopisów a tym co się dzieje z pańskimi guzikami?

— Zgadł pan, młody człowieku — odpowiedział — co gorsza muszę się spieszyć, nie podobna bowiem przewidzieć jakie będą następne szykany.

Zastanowiło mnie to słowo.

— Czy dobrze słyszałem, profesorze? — zapytałem. — Powiedział pan „szykany”, ależ to znaczy, że ktoś...

— Tsss... — szepnął. — Tak jest w istocie i boję się, że pan też może doznać... hm, pewnych, nazwijmy to, represji. Muszę ostrzec pana póki jeszcze nie jest za późno i doprawdy nie obrazę się, jeśli pan odmówi. Wyjdę stąd po prostu i...

— Cóż znowu! — obruszyłem się. — Może pan liczyć na mnie, moją dyskrecję i moją pomoc! — wykrzykiwałem w zapale do Hamiltona, który potakiwał ruchami głowy i szeptał:

— Tak, tak, to oczywiste, ktoś musi to wziąć na siebie, to nie jest sprawa osobista, to dla dobra nauki... A więc mogę mówić? — wyprostował się i oczy zabłysły mu nadzieją.

— Wszystko! — odparłem gorąco — Wszystko co tylko uzna pan za właściwe! — i aby podkreślić znaczenie tych słów, sięgnąłem po szklankę i uniosłem ją w wyciągniętej ku Hamiltonowi dłoni. I wtedy, panowie, w krótkiej ciszy jaka zapadła, rozległ się głośny plusk, panowie. Na moją dłoń bryznęły krople płynu. Zbliżyłem szklankę do lampy: wewnątrz, płynąc jeszcze na powierzchni, szamotała się bezradnie ogromna gąsienica...

Opuściłem pokój na kilkanaście sekund, aby wyrzucić to paskudztwo i powróciłem już bez szklanki straciwszy wszelką ochotę do picia. Hamilton zmierzył mnie smutnym spojrzeniem.

— Czy w dalszym ciągu chce mnie pan wysłuchać? — zapytał.

— Nie zwykłem — obruszyłem się — tak nagle zmieniać postanowień!

— No tak — nalegał — ale po tym! — i oczami wskazał drogę, jaką przebyła gąsienica z sufitu do szklanki. — Po tym nie stracił pan ochoty?

Zrozumiałem, panowie, i ciarki mnie przeszły po raz drugi. Pojąłem, iż to co dla mnie jest zbiegiem przypadkowych i w miarę zabawnych incydentów, w umyśle Hamiltona układa się jako ciąg logicznych i uzasadnionych wydarzeń. Czyżby to miało być ostrzeżenie?

### C h u s t k a

— Jestem prześladowany już od wielu dni — mówił Hamilton. — Nie mogę być pewny dnia ani godziny. Jestem atakowany z nieopisaną perfidią i przemyślnością. Gdyby chodziło tylko o dokuczanie i szkodzenie mnie samemu, potrafiłbym wiele wytrzymać i niejedno znieść w milczeniu, cóż, kiedy do głosu zaczyna dochodzić „opinia publiczna”. Tak, tak, pan zajęty swoją pracą może o tym nie słyszał, a ja zaczynam się cieszyć osobliwą sławą w naszym małym mieście. Sławą w dość określonym środowisku, co prawda. Czy sądzi pan, że to zajście w pańskim przedpokoju było pierwszym tego rodzaju? Nic podobnego, drogi panie, a ponadto owa dama niewątpliwie pobożna i godna szacunku, musiała już wiele o mnie słyszeć. Niech pan pyta którąkolwiek... hm... pomocnicą domową o profesora Hamiltona, a zobaczy pan jak zacznie się żegnać znakiem krzyża...

Krople potu wystąpiły na czoło profesora. Mówienie sprawiało mu trudność. Ja sam nie odzywałem się ani słowem, panowie. Hamilton sięgnął do bocznej kieszeni marynarki, aby wydobyć chustkę i wytrzeć nią czoło, lecz to co wyciągnął nie było już chustką. Zdumiewałem się widząc jak dwoma palcami unosi coraz wyżej wąski pasek kraciastej tkaniny, wywlekając z kieszeni coraz to nowe jej zwoje. Szarpnął to wreszcie z pasją i podsunął do światła:

— Widzi pan teraz? To była chustka! Dziś rano całą i świeżą włożyłem do kieszeni.

### R ę k a w

Patrzyłem z niedowierzaniem na pasmo materiału. Hamilton zebrał je w dłoniach, zmiął i nagle z rozmachem cisnął do kosza pod biurkiem. Lecz wtedy rozległ się cichy trzask, panowie, i rękaw Hamiltona oderwany od marynarki zsunął się aż do łokcia. Hamilton siedział jak porażony tą nową niespodzianką, lecz opanował się niebawem i z podziwu godnym spokojem oswobodził rękę, upuszczając rękaw na podłogę. Nic z tego nie rozumiałem, panowie.

— To już szóste ubranie — wyjaśnił Hamilton. — Szóste w tym tygodniu. Jeśli tak dalej pójdzie, stanę się nędzarzem. No, ale przed tym uchroni mnie może więzienie! — dorzucił z wisielczym humorem i ciągnął dalej widząc moje osłupienie. — Nie będę się nad tym rozwodził. Jak mówiłem muszę się spieszyć. Nikt nie wie ile pozostało mi czasu, aby przekazać panu to co najważniejsze. Nie przyszedłem, aby prosić o cokolwiek ponad to, jak tylko przechowanie w pamięci treści rozmowy.

— Czy nie sądzi pan — odezwałem się — że pamięć bywa nieco zawodną?

— Ba! I cóż z tego, jeśli nie ma innego sposobu...

— Być może znalazłby się.

— Nie sędzę — odrzekł niecierpliwie. — Tracimy czas.  
— A gdybym tak uruchomił magnetofon? — zapytałem.  
— Cha cha! — roześmiał się. — Zapewniam pana, że taśma nie okaże się trwalsza od moich sześciu ubrań.  
— A jeśli — upierałem się — zaraz po nagraniu włożę ją do hermetycznego pudełka i zamknę w kasie pancерnej? — wskazałem głową masywny blok stali w rogu pokoju.  
— Nie — potrząsnął głową — nic nie pomoże. Proszę, jeśli pan chce koniecznie, proszę, ale to bezskutecznie.  
A jednak, panowie, nie dałem się odwieść od wykonania mego pomysłu. Ustawiłem pomiędzy nami mikrofon, włączyłem prąd i kiedy szpulki jęły się obracać, dałem znak Hamiltonowi.

### Krawat, kołnierzyk

— Na różnych planetach — zaczął — znaleziono różne formy życia. W kilku wypadkach także wyższe formy obdarzone pewną zdolnością do samookreśleń. Pan coś słyszał o tym, nieprawdaż? — zapytał nagle nie ukrywając głębokiego powątpiewania. Lecz przyjął widać do wiadomości moje gorące potakiwanie, bo ciągnął dalej: — Niektóre z owych form wytworzyły nawet coś porównywalnego z naszą cywilizacją i kulturą. Oczywiście trzeba być bardzo wciągniętym w te sprawy, aby móc przeprowadzić takie porównania. Rzecz w tym, iż owe cywilizacje są pozornie czymś zupełnie innym, niż to, co zwykły tym mianem obdarzać mieszkańiec Ziemi. Innym, bowiem i formy życia są odmienne od naszych. Zadałem sobie pytanie: Czy w długiej historii Ziemi nie było innego, zaginionego już bez śladu gatunku, który osiągnął poziom rozwoju porównywalny z naszym poziomem?  
— Zdawało mi się — wtrąciłem — iż archeologia i inne nauki już dość dawno rozstrzygnęły tę sprawę... — nim dokończyłem, sam zdałem sobie sprawę z całej naiwności tego odezwania się. Zamilkłem speszony, panowie, zaś Hamilton przybrał pobłażliwy wyraz twarzy; zaczerpnął powietrza szykując się do dłuższej perory, której, obiecywałem sobie, za nic mu nie przerwę. Dłonią sięgnął do krawata, aby go rozluźnić. Usłyszałem cichy trzask i krawat pęknięty na pół znalazł się w palcach profesora. Bez słowa upuścił go na ziemię i sięgnął do kołnierzyka. Wtedy okazało się, że i ten jest precyzyjnie oddzielony od koszuli. Kiedy powędrował do kosza, utkwilem oczy w podłodze, unikając spojrzenia na Hamiltona. Bądź co bądź, panowie, był moim klientem i jego wygląd zewnętrzny powinien mi być najzupełniej obojętny. Zresztą i profesor odczuł zapewne skrępowanie, gdyż milczał przez chwilę, ciężko jedynie oddychając.

### Marynarka, kamizelka

Hamilton przemógł się i podjął:  
— Uznałem, na razie tylko hipotetycznie, za wysoce prawdopodobne, iż na długo przed pojawieniem się na Ziemi ludzi, gospodarował tu już ktoś inny. Zacząłem szukać śladów owej obecności i znalazłem je. Tak, ja je znalazłem! Stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość oznaki ich działalności w przyrodzie. Zmieniali klimat i w ciągu tysiącleci skład atmosfery, osuszali ogromne połacie bagien, rozsiewali rośliny. O n i byli tu i działali...  
— Skoro — nie wytrzymałem — byli tak potężni, dlaczego tylko pan jeden potrafił odszukać niedostrzegalne dla innych oznaki owego działania? Potrafimy znaleźć dziś ułamki kości, które mówią wszystko o życiu byle królika sprzed setek tysięcy lat, a nie umielibyśmy odszukać śladów tak gigantycznej działalności?

— Drogi panie! — zawołał Hamilton — To jest możliwe! W jednym tylko przypadku — zawiesił głos — w przypadku, gdyby oni sami zapragnęli ukryć swoją obecność.

— Po co? — czułem, panowie, iż zaczyna mnie drażnić to wszystko, osobliwe wyznania Hamiltona, historia z panną Leveux. — Po co? — wołałem. — W jakim celu o n i wielcy, mądrzy i potężni mieliby się ukrywać i niszczyć to co zbudowali...

— Odkryłem i to — oświadczył profesor i aby dodać swoim słowom mocy, gwałtownym ruchem uniósł rękę.

Wtedy, panowie, okazało się, iż nie istnieją szwy na ramionach marynarki profesora. Z wielką wprawą, nie poświęcając temu zbytnej uwagi, zajęty swoimi myślami, pozbył się bezkształtnych teraz płatów materiału, a wraz z nimi i kamizelki, która była w nie lepszym stanie. Został w koszuli, panowie, nie mogąc nawet jej zapiąć, gdyż była pozbawiona jednego choćby guzika.

Zaproponowałem, iż pożyczę mu jedną ze swoich marynarek.

— To nie miałyby sensu — odpowiedział. — Wszystko co włożę ulega natychmiastowemu zniszczeniu. Niech pan lepiej słucha, póki jeszcze mam cokolwiek na sobie.

## P o d e s z w a

— Odkryłem — mówił — wszystko. Oto w jaki sposób: Szukałem dróg, jakimi pójdzie nasza własna cywilizacja. Czy zawsze będzie tak dynamiczna i twórcza jak obecnie? Wątpiłem w to. Kiedyś musi osłabnąć pęd do wiedzy, do rozszerzania świadomości, instynkt zdobywczy. Uznamy, być może, iż nie ma czego szukać na gwiazdach, zaś na Ziemi życie stanie się proste i wygodne dzięki super-technice przyszłości — czyż miałyby się to nie odbić na psychice ludzkiej? Wtedy, mój panie, dokonałem eksperymentu. Słynnego...

— Zapewne — wtrąciłem — ma pan na myśli, ów eksperyment z mózgiem ludzkim?

— Zgadł pan!

— To nie było trudne. Wszyscy się tym pasjonowali, więc i ja...

Hamilton machnął lekceważąco ręką.

— Nie ujawniłem wówczas właściwego celu doświadczenia. Pan jest pierwszym, który się o tym dowie...

Skłoniłem w milczeniu głowę. Sądzę, iż w owej chwili nie byłem zdolny do oceny tych rewelacji. Jakoś nie umiałem się skupić. Przyznam, iż bardziej zajmowało mnie rozważanie, jaką następną część garderoby straci Hamilton, niż jego wykład.

— Mózg oddzieliłem od ciała i postarałem się, aby utrzymać go przy życiu w warunkach laboratoryjnych. Prawidłowo odżywiony, utleniony i ogrzewany przez precyzyjne aparaty, doskonale znosił osobliwe bądź co bądź, warunki. Ale nie na tym kończyły się moje zamiary. Chciałem wiedzieć o czym będzie rozmyślał ten delikatny organ wyzwolony od wszelkich obciążeń związanych ze sterowaniem ludzkiego ciała. Jakie reakcje powstaną w owej naturalnej maszynie kalkulacyjnej, skoro odcięte są bodźce zmysłowe — wzrok, słuch, węch, dotyk, smak. Skoro nie pozostało nic z dawnej konieczności walki o byt, nic z instynktu podtrzymania gatunku, nic poza czysto teoretyczną wiedzą zamkniętą w komórkach pamięci.

Czyż nie należało się spodziewać, że taki mózg, wyzwolony ze wszystkiego co przyziemne i materialne, zacznie, wolny i nie skrępowany, tworzyć wspaniałe konstrukcje myślowe, iż ukaże wszystkie możliwości wyzwolonego intelektu? Należało! — odpowiedział Hamilton sam sobie — A jednak nic z tego nie wyszło. Wie pan co się stało? — wlepił we mnie wzrok.

— Nie mam pojęcia — zaprzeczyłem energicznie.

— Aparatura odczytująca myśli milczała, oscyloskopy nie drgnęły nawet, żadna myśl, nawet najprostsza, nie zaświtała w moim... wyzwolonym mózgu!

— Klęska — szepnąłem cicho.

— Bzdury! — warknął. — Nic pan nie wie! — dodał i nogę założył na nogę. Rozległo się niegłośnie klapnięcie, jakby odgłos upadku czegoś płaskiego na podłogę. Hamilton był zbyt z tym oswojony, aby zwracać uwagę na drobiazgi, ale ja nie wytrzymałem, panowie. Ponieważ widok zasłaniało mi biurko, uniosłem się i zajrzałem na stronę profesora. Zanim zdołałem cokolwiek zauważyć, on sam ze złośliwą satysfakcją, jak to dzisiaj oceniam, podniósł nogę i oparł stopę na biurku.

— Proszę! — powiedział nieco zbyt głośno — Proszę, jeśli pana aż tak bardzo interesuje, a może i bawi... — dorzucił z przekąsem.

But nie miał podeszwy. Leżała na podłodze. W obramieniu czarnej cholewki tkwiła stopa ubrana w całą jeszcze skarpetkę.

## Koszula

Opadłem na krzesło, panowie, zaś profesor jednym szarpnięciem zerwał ze stopy zbędny kawałek skóry i cisnął go na środek pokoju. Lecz przy tym zabrzmiał donośny dźwięk pękającego materiału. Znieruchomiałem, panowie. Za to Hamilton z całą swobodą sięgnął dłonią do pleców i z uśmiechem oznajmił:

— Koszula. Właśnie pękła z góry na dół. Mówiliśmy — zaczął bez żadnego przejścia — o nieoczekiwanym zachowaniu się mózgu, który nie chciał wykorzystać danej mu, wyjątkowej szansy. I oto dochodzimy do sedna sprawy. Tak samo, rozumowałem, zachowamy się my wszyscy, ludzie, z chwilą kiedy zbudujemy już na Ziemi idealne warunki bytowania, kiedy automaty przejmą od nas wszystkie czynności praktyczne i starania o utrzymanie się przy życiu. I teraz — niech pan uważnie śledzi tok rozumowania! — dokonałem ogromnego przetrzutu, z odległej przyszłości w najdawniejsze, zamierzchłe czasy... Owo niebezpieczeństwo zaniku zdolności myślenia, które zagrozi kiedyś naszemu gatunkowi, być może groziło już komuś w przeszłości. Komuś, kto posunął się w rozwoju odpowiednio wysoko.

— Wielkość i upadek Babilonu — powiedziałem.

— Nie było żadnego upadku — zaprzeczył natychmiast. — Ich cywilizacja była nieporównanie wyższa od wszystkiego co dotąd stworzyli ludzie. Zanim groźba klęski stała się realna, oni już ją przewidzieli i poszukali środków zaradczych. Niech pan uważa, uczynili rzecz pozornie nieprawdopodobną: uznając, iż trzeba przywrócić społeczności naturalne bodźce rozwoju, iż trzeba wyzwolić na nowo instynkt walki o byt, uruchomić te wszystkie własności psychiki, które decydują o postępie — postanowili porzucić wszystko, co dotąd zbudowali. Postanowili przywrócić surowe i pierwotne warunki życia. Cóż znaczyło takie wyrzeczenie wobec być, albo nie być, gatunku! Decydowali się na krok wstecz, aby przetrwać do chwili kiedy odnowione pokolenia, z całą młodzieńczą, odświeżoną prężnością, korzystając z przekazów zanotowanej i przechowanej troskliwie wiedzy podejmą nowy marsz naprzód.

— Rozumiem! — oznajmiłem triumfalnie. — Pan sądzi, że oni opuścili Ziemię, pan ich szukał w Kosmosie i pan ich znalazł! Nieprawdaż profesorze? Mars?

Lecz Hamilton, panowie, zaprzeczył ruchem głowy.

— Szukałem, to prawda, lecz znalazłem ich zupełnie gdzie indziej: na Ziemi!

Powstał ze swego miejsca i nie zważając na to, iż jest w jednym bucie, jął się przechadzać tam i na powrót. Nie zauważył też zapewne chwili, w której puściły wszystkie szwy koszuli, która zwiśla wokół bioder, przyciśnięta paskiem, niby egzotyczna spódniczka.

— Widzi pan — tłumaczył mi dalej, ukazując podczas przechadzki raz gołe plecy, to znów nagi tors — uległem psychozie, nic więcej. W ostatnich latach tak wiele mówi się o Kosmosie i tak wiele szuka się tam rozwiązań, że i ja mimo woli uległem tej modzie naukowej. Ale kiedy znalazłem się sam poza Ziemią, pojąłem, iż oni by się na to nie puścili. Nie,

stara, doświadczona cywilizacja nie ryzykowałaby takiej awantury, nie mogli opuścić własnego środowiska, warunków w których wyrosli.

— No więc zostali! — krzyknąłem. — I jednak wyginęli!

— Jest pan w błędzie — odparł. — Wprawdzie zostali, ale...

— Chce pan powiedzieć, że żyją?

— Żyją! Żyją i działają, o! — kopnął bosą stopą porzucony rękaw. — Czuwają i nie pozwolą się odkryć, dopóki nie przyjdzie ich chwila. Ale ja jestem już blisko, piekielnie blisko — zaśmiał się nerwowo — i pan wie tyle niemal co i ja, a oni są gdzieś tuż, tuż, wciąż czują tę nieuchwytną obecność, nawet w tym pokoju nas osaczają...

I znów, panowie, ciarki przebiegły mi po plecach.

— Pan też już przepadł — mówił do mnie Hamilton — Teraz jest pan dla nich równie groźny jak ja... Ach, gdybym miał jeszcze miesiąc, tydzień chociaż...

## Spodnie

Ale profesor, panowie, nie miał już nawet godziny na prowadzenie osobliwego śledztwa. Usłyszeliśmy donośny gwar pod oknami, zmieszane okrzyki tłumu i pojedyncze wrzaski wrywające się ponad ogólny tumult.

— Słyszysz pan? — zapytałem profesora, który stał za krzesłem ściskając oburącz oparcie z taką siłą, że pobiełały mu palce. — Jakiś wypadek, wyjrzę co się stało...

— Nie — powiedział z wysiłkiem. — Niech pan zostanie. Obawiam się, że to o mnie chodzi. Nie chcę pana więcej narażać. Wyjdę im naprzeciw.

— Ależ nie w tym stroju! — zawołałem.

— No tak — zawahał się. — Chociaż już nic mi nie zaszkodzi. .. Może mógłby mi pan dać jakiś koc, w który się owinę?

— Dam panu ubranie!

— Nie, nie, to bezcelowe — upierał się.

— A ponadto — powiedziałem — nie widzę powodu, dla którego miałby pan teraz wychodzić. Przenocuje pan u mnie i rano...

— Rano? O nie, skoro już tu przyszli, sprawy zaszły widać daleko, zniszczą panu ogród, gotowi spalić dom...

— Wezwę policję!

— Za późno...

Rozległ się tupot nóg, głosy zbliżyły się, poznaliśmy, panowie, iż tłum sforsował ogrodzenie i oblega dom. Jakoż nie minęło kilka sekund jak zabrzmiało głucho dudnienie pięści walących w drzwi wejściowe. Rzuciłem się do telefonu, panowie, ale wówczas mój wzrok padł na magnetofon. Niewiele myśląc porwałem krążek z nagraniem taśmy i wrzuciłem go do blaszanego pudła. Mocowałem się z zapięciami, panowie, kiedy kamień rzucony z ulicy rozbił okno. Przez kilka sekund dzwięczały odłamki sypiącego się szkła. Profesor na pół goły cofnął się w głąb pokoju.

— WYŁAZIĆ! — wołali za oknem. — ZARAZ WYŁAZIĆ! DAWAĆ TĘ STARĄ ŚWINIĘ!

Z najwyższym pośpiechem dopadłem kasy pancernej, wrzuciłem tam pudło i zatrzasnąłem ciężkie drzwi. Teraz podbiegłem do telefonu zdecydowany alarmować policję, wojsko, straż pożarną i władze miejskie, ale nie było to potrzebne, panowie, bowiem na ulicy zajęczała przeraźliwie syrena, a po chwili, w grobowej ciszy jaka ogarnęła tłum, zastukały twarde obcasy policjantów. Sądziłem, iż zaraz rozlegnie się dzwonek, ale zamiast tego zachrobotał klucz w zamku. Czekaliśmy z profesorem w gabinecie, on błądy i zrezygnowany, ja rozmazując krople potu na twarzy i szykując się do wygłoszenia ostrego protestu. Do przedpokoju



weszło kilka osób.

— TAM JEST! ZA TYMI DRZWIAMI — mówiła do kogoś panna Leveux.

Na te słowa, profesor Hamilton szarpnął za klamkę i w całej okazałości wkroczył do przedpokoju. Szedł lekko kulejąc, w jednym bucie, zaś wokół gołych nóg owijały się długie pasma materiału, które jeszcze przed chwilą były spodniami.

Pomiędzy dwoma policjantami z paskami pod brodą, stała panna Leveux. Ręce przycisnęła do piersi, oczy wlepione w nagie kolana Hamiltona omal nie wyszły jej z orbit. Fala wypieków ogarniała policzki, zaś ze zduszonego gardła wydierał się jakiś nieludzki skrzek.

## Moje buty

Rzuciłem się naprzód, panowie, pragnąc postawić na szalę cały swój autorytet, cóż... potknąłem się w niepojęty sposób i z całym rozpędem uderzyłem głową w brzuch policjanta. Upadliśmy na ziemię. Oba moje buty były pozbawione podeszew. Precyzyjnie i dokładnie oddzielone leżały opodal.

Zostałem aresztowany, panowie, pod zarzutem napaści na policjanta pełniącego służbę. Sprawa Hamiltona wyglądała poważniej. Zarzucono mu obrazę moralności przez niedozwolone i gorszące, wielokrotne obnażanie się w miejscach publicznych. Głównym świadkiem oskarżenia była panna Leveux, ale oczywiście nie brakło i innych osób, które przy różnych okazjach widziały profesora jak przemyka się ulicami w mocno niekompletnym stroju, i które gotowe były świadczyć przeciw niemu w przekonaniu, iż wymaga tego obywatelski obowiązek.

Ja jeden znałem tajemnicę profesora. W dniu jego procesu, panowie, chciałem przedstawić sądowi taśmę z nagraniem naszej rozmowy. Ale w blaszanym pudle znalazłem jedynie plastikową szpulkę i garść strzępków, których niepodobna było skleić. Hamiltona skazano na niezbyt długie więzienie, ale nigdy więcej o nim nie słyszałem. Niestety zdołał zarazić mnie swoją ideą. Próbowałem rozmawiać z uczonymi, znaleźć posłuch dla tez Hamiltona. W końcu tylko tym żyłem, panowie. Straciłem praktykę, popadłem w rozstrój nerwowy, dręczyły mnie przywidzenia i na koniec...

\* \* \*

— Daj spokój, stary — powiedział Jolson i podniósł szklanę.

— Do dziś nie wiem kim oni są! — mówiłem coraz głośniejszym głosem, czując jak ogarnia mnie nerwowe drżenie. — To oni zrobili ze mnie to czym jestem i o n i wykończyli Hamiltona! — krzychałem. Złapałem łyżeczkę i z całej siły rzuciłem nią o podłogę.

Wówczas wszedł pielęgniarz i schwytał mnie za przeguby obu rąk.

— Spokojnie — powiedział. — Niech pan spróbuje się opanować, bo znowu dostanie pan ataku.

— Nikt mi nie wierzy... — dyszałem mu prosto w twarz. — Teraz choćbym ich odkrył, nikt mi nie uwierzy...

Rumiany jegomość, którego przyprowadził Jolson, stanął za pielęgniarzem i zaczął go walić pięścią w ramię.

— Protestuję uroczyście — mówił — przeciw użyciu siły...

Wtedy wszedł drugi pielęgniarz, wziął go za rękę i wyprowadził na korytarz. Po chwili wrócił i powiedział:

— Proszę się rozejść do swoich pokojów, natychmiast, bo dostaniecie na kolację... — zawiesił głos — płatki owsiane.

Jolson pierwszy wyszedł z wyrazem obrzydzenia na twarzy, a za nim inni. Wciąż miałem unieruchomione ręce, a drugi pielęgniarz zbierał szklanki.

— Tfu! — powiedział do kolegi — patrz co oni wyprawiają. Trzeba ich lepiej pilnować... — i pokazał.

Na powierzchni bladuróżowej cieczy, we wszystkich szklankach pływały wijąc się, ogromne włochate gąsienice.

Byłem już spokojny, nie wrywałem się, a sprzed oczu odpływały strzępy czerwonej mgiełki. Wtedy podniosłem wzrok i na białym suficie zobaczyłem, tak, zobaczyłem, bo przed kim jak przed kim, ale przede mną nikt już nie potrzebował się ukrywać, zobaczyłem w spieszonym pochodzie, milczący i sprawny niewielki oddziałek czerwonogłowych mrówek.

## Światła biegną przez kosmos

Grosvenor

Nie, nie sądzę, abym popełnił jakąś niewłaściwość. Jest rzeczą od dawna przyjętą, że nie informuje się opinii publicznej o szczegółach podejmowanych badań dopóki te obracają się w sferze domysłów i... Au! Ja... ja bardzo przepraszam, ale nie będę mógł mówić dalej, jeśli ten ktoś nie zaprzestanie strzelania z grochu...

Otóż, domysłów i hipotez, tym bardziej tak nieokreślonych i problematycznych jak to było w naszym przypadku. Jako kierownik zespołu realizującego program VISOR II z całą stanowczością odrzucam stawiane nam zarzuty. Obciążenie nas jakąkolwiek winą jest absurdem. Nie nadużyliśmy niczyjego zaufania. Dziewięćdziesiąt procent aparatów zawartych w rakiecie było przeznaczonych dla wykonania tradycyjnego programu sondażu przestrzeni kosmicznej... Nie, te wrzaski są nie do zniesienia!

Van Vliet

— Jako główny inżynier czuwałem osobiście nad montażem aparatury. W głowicy rakiety znalazły się zwykle liczniki dla pomiarów promieniowania, zespoły termometrów, przyrządy do pomiaru pól magnetycznych, grawitacyjnych i elektrycznych, oraz inne przyrządy nieodmiennie umieszczane we wszystkich poprzednich raketach.

Grosvenor

— Tak więc, jeśli ktoś zechce zadać sobie minimalny trud dla zapoznania się z samą choćby zawartością VISORA II, będzie musiał uznać typowość doświadczenia. Nie było ono ani bardziej kosztowne, ani bardziej „zbędne” czy „ryzykowne” niż cała seria poprzednich, ogólnie akceptowanych.

— Do diabła! Jeśli już doszło do tego, że na posiedzenie Akademii wpuszcza się tę hołotę, to przynajmniej zmusić ich do milczenia!

— Gwizdy nic nie pomogą, HOŁOTĘ! powtarzam, HOŁ... Ratujcie, koledzy, nic nie widzę...!

Van Vliet

— Zgniły pomidor na pewno nie jest najlepszym środkiem dyskusji naukowej, panowie...

## Grosvenor

— Strefa? Taki zarzut może dyktować wyłącznie absolutna ignorancja. Sądzę, iż ten kto występuje dziś z podobnym oskarżeniem, jeszcze przed kilkoma dniami uważał za sprawę naturalną, iż badania przenoszą się kolejno do wszystkich sektorów nieba. Nie było najmniejszych powodów, aby pominąć w schemacie obserwacji jakikolwiek odcinek otaczającej Ziemi przestrzeni.

— Dyskusję tego rodzaju uważam za bezsensowną. Byłoby o wiele właściwszą rzeczą, gdyby wszyscy obrzucający nas tak zaciekle bezmyślnymi zarzutami, zechcieli wysłuchać z zimną krwią tego co my mamy do powiedzenia. Przekonają się wówczas, że o jakiegokolwiek winie nie może być mowy.

— Nareszcie rzeczowe pytanie. Cieszę się, że przynajmniej jeden mężczyzna nie uległ zbiorowej hysterii. Odpowiadam, panie profesorze: pozostałe dziesięć procent aparatury w głowicy VISORA II stanowiła kamera telewizyjna.

— Słusznie, kamery tego rodzaju należą również do tradycyjnego wyposażenia, jednak zadanie jakie miała spełnić ta właśnie, było zgoła odmienne.

## Van Vliet

— Kamera odznaczała się ponadto odmienną konstrukcją, zaprojektowałem ją na życzenie profesora.

## Dell'Oca

— Prosiłem o to inżyniera Van Vlieta.

## Van Vliet

Średnica obiektywu wynosiła 410 cm. Wobec założeń postawionych przez profesora Dell'Oca musiałem zastosować nowe zupełnie, oryginalne rozwiązanie. Obiektyw, na wzór oczu stawonogów złożyłem z 3600 mniejszych obiektywów. Co za tym idzie było też 3600 promieni wodzących. Główne novum stanowił jednak układ odtwarzający. Normalnie jest on wiernym odbiciem układu rejestrującego, tym razem zastosowałem zmniejszoną liczbą lamp kineskopowych — zaledwie 60. Całość, wraz z pomocniczymi urządzeniami, których znaczenie rozumieją jedynie specjaliści, pozwalała na niezwykle precyzyjny odbiór obrazu, przesyłanego przecież z ogromnej odległości.

## Grosvenor

— Jest to właściwy moment, aby wyjaśnić, iż jakkolwiek profesor Dell'Oca jest autorem pomysłu, który za chwilę omówimy, to jednak wszyscy z zespołu mają swój udział w realizacji opartego na pomysle eksperymentu i jeżeli komukolwiek przyjdzie do głowy oskarżać profesora Dell'Oca, niech pamięta, że występuje także przeciw nam, pozostałym... Zaznaczam, że to małpie wycie nie zdoła wytrącić mnie z równowagi...

— Decyzję o umieszczeniu w rakiemie aparatu, podjąłem ja sam. Nie do pomyslenia jest sytuacja, w której uczeni nie mieliby prawa do takich kroków. Zamierzenie profesora

Dell'Oca nam samym wydało się początkowo zbyt śmiałe. Nie mam więc wątpliwości jak zostałyby przyjęte przez tak zwaną „opinię”. Zresztą daje ona właśnie popis swojej osławionej „bezstronności”, „umiarkowania” i „taktu”!

D e l l ' O c a

— Pomysł jest mniej oryginalny niż to się może komuś wydawać. Zaczerpnąłem go ze zdobyczy geometrii przestrzennej i badań nad fizyką światła. Zresztą podstawę wszystkiego stanowią prace profesora De Bellard.

D e B e l l a r d

— Ja... ja naprawdę nie mogę przekrzykiwać tego... hm, gwaru... Ja bardzo proszę...

— Moje wieloletnie badania nad istotą czterowymiarowej czasoprzestrzeni dały w istocie pewne rezultaty. Muszę przyznać, iż nie dążyłem do przedwczesnego ich publikowania. Obowiązkiem uczonego jest powściągliwość. Zdecydowałem się na przedstawienie moich idei wąskiemu gronu uczonych. Jestem im wdzięczny za wyrozumiałość i entuzjazm z jakim je przyjęli. Jednak reakcją taką podyktował jak sądzę, bardziej szczerzy wzajemny szacunek, niż materiał dowodowy jaki byłem w stanie przedstawić.

Matematyczne wykazania słuszności teorii wymagałoby budowy maszyn liczących zupełnie nowego typu. O tym nie mogłem marzyć w niedalekiej przyszłości. Tym większa jest moja wdzięczność dla profesora Dell'Oca. Po wielu dyskusjach, w trakcie których starałem się przedstawić znakomitemu... Tak! Znakomitemu! Biedacy... te bezmyślne śmiechy mogą budzić tylko litość... Przedstawić nowy pogląd na strukturę przestrzeni, rzucił on myśl, aby podejść do zagadnienia od strony eksperymentu. Nie czekać na dowód teoretyczny lecz poprzedzić go doświadczeniem.

D e l l ' O c a

— Wychodziłem z założenia, iż eksperyment taki w razie powodzenia od razu otworzy nauce nieprawdopodobne perspektywy. Jeśli się nie uda, nie pociągnie za sobą żadnych strat. Prof. De Bellard pozostanie na razie przy obliczeniach, które tak czy tak muszą być dokonane, zaś aparatura będzie wykorzystana do innych celów.

D e B e l l a r d

— Za rzecz najmniej pożądaną uważam publiczne przedstawianie wyników prac naukowych. Niestety jestem zmuszony do tego i wywiążę się z obowiązku, aczkolwiek konieczność jego dopełnienia, szczególnie w istniejących tu warunkach, przyprawia mnie o uczucie żalu i zażenowania. Sprawy, o których mam mówić, zbyt są trudne, aby przyswoił je umysł nieprzygotowany... Ten dżentelmen w kraciastej marynarce pewnie uważa, iż dowodzi czegoś wręcz przeciwnego, pokazując mi od pięciu minut język... Wiem, iż każde moje słowo wywoła lawinę fałszywych skojarzeń i przypuszczeń, które uczonego wtrącić mogą w ciężki rozstrój nerwowy.

— Już samo pojęcie czterowymiarowej czasoprzestrzeni od dawna ugruntowane i mające prawo obywatelstwa w świecie nauki, jest dla laika abstrakcją. Tym bardziej niepojęte

będzie dalsze rozwinięcie owej abstrakcji. Niemniej podejmuję ów trud.

Najogólniej mówiąc, Wszechświat nie stanowi jednolitej „masy”. Przestrzeń międzygwiazdowa nie jest czymś jednorodnym, co można by porównać na przykład z masą wód w oceanie, która nie wykazuje jakiegokolwiek trwałego podziału strukturalnego. Prądy i zagęszczenia lokalne mają charakter zmienny. Zaproponowałem, aby obszaru międzygwiazdowego nie traktować jako „jednolitej pustki”, którą przeszywają chaotycznie promienie światła i innych niewidzialnych dla oka promieniowań. Wyraziłem przypuszczenie, iż przestrzeń ma swoją stałą strukturę, niezmienną i możliwą do uchwycenia na drodze matematycznej, a mianowicie, iż składają się na nią „komórki przestrzeni”, coś, co można doskonale porównać z komórkami w plastrze miodu, lub ze zbiorowiskiem komórek w substancjach organicznych.

Owe podstawowe elementy przestrzeni są tworami stałymi, a przynajmniej można je za takie uważać przy obecnym stanie znajomości przedmiotu. Byłoby nadmierną śmiałością z mojej strony wyrażać przypuszczenie co do rodzaju substancji oddzielającej jeden element od drugiego. Wystarczy, iż stwierdzimy, że stanowią one zamknięte w sobie pola magnetyczne. Twierdzę, iż gdyby się udało umieścić mikroskopijne przyrządy w nieskończenie cienkiej strefie granicznej wykazałyby one brak jakiegokolwiek życia w pojęciach fizyko-chemicznych. Reasumując: nie ma linii pól magnetycznych ani grawitacyjnych, biegnących przez cały Wszechświat, nie ma promieni biegnących nieskończenie daleko. Wszystkie zjawiska odbywają się w obrębie „komórek”, a od dawna obserwowane przez nas zakrzywienie się przestrzeni, jest niczym innym jak zakrzywianiem się granic naszej tylko komórki. Owo zakrzywienie, jak obliczyłem, w sześciu przynajmniej miejscach czasoprzestrzeni musi przyjmować formę paraboloidy obrotowej. Jest to twór przestrzenny posiadający punkt — ognisko, gdzie zbiegać się muszą wszelkie promienie biegnące równoległe do osi podłużnej paraboloidy. W tym także promienie światła.

## Dell'Oca

— Ten punkt rozważań profesora De Bellard wzbudził moje szczególne zainteresowanie. Zacząłem się zastanawiać nad widzianymi przez nas świetlnymi krążkami gwiazd. Nie są one niczym innym jak obrazami przesłanymi na odległość. Uświadomiłem sobie, że w ten sam sposób wysyła w przestrzeń swój wizerunek Ziemia. Od tysięcy lat, powierzchnia naszego globu niby potężny reflektor odbija snop słonecznego światła. Gdyby było możliwe poruszanie się dowolne wzdłuż uciekającej w Kosmos smugi promieni, można by w każdym jej punkcie oglądać obraz Ziemi z innej epoki. Jednak myśl o podróży z szybkością ponadświetlną jest nieziszczalnym marzeniem. Okazało się to niepotrzebne. W paraboloidalnej czasoprzestrzeni profesora De Bellard promienie światła zamknięte są jak w wyłożonym lustrami pudle. Nie oddalają się w nieskończoność, lecz po odbyciu odpowiednio długiej drogi trafiają niezmiennie do ogniska paraboloidy. Kiedy usłyszałem, że jedno z sześciu ognisk naszej komórki przestrzennej znajduje się w rejonie zbliżonym do orbity Saturna, wysunąłem projekt umieszczenia w tym punkcie oka automatycznego. Istniała jedna szansa na miliony, że promienie światła opuszczające Ziemię, wracają w jej pobliże. W tym wypadku, gdyby nie były one nadmiernie zniekształcone i zakłócone, moglibyśmy ujrzeć nasz glob tak, jak wyglądał w przeszłości.

## Grosvenor

— Muszę przyznać, że zarówno teoria De Bellarda jak i wnioski wysnute z niej przez Dell'Oca, w pierwszej chwili wzbudziły we mnie podejrzenie, iż obaj uczeni dali się ponieść

fali entuzjazmu, jednak stanąłem po ich stronie i nie żałuję tego.

— Tak, to ja wydałem polecenie umieszczenia w rakiemie aparatury telewizyjnej dostarczonej przez Van Vlieta. Oczywiście konsekwentnie już zgodziłem się na zainstalowanie aparatury odbiorczej w podległych mi Zakładach.

— Stroną techniczną całości projektu kierował Van Vliet.

### Van Vliet

— Informacje o pomyślnym locie rakiety były podawane przez codzienną prasę i radio, nie widzę potrzeby ich powtarzania.

— Nic podobnego! Lot na trasie Ziemia — Orbita Saturna i z powrotem odbył się po ściśle przewidzianym torze i z całym naciskiem oświadczam, że w pracy urządzeń nie stwierdzono żadnych anomalii. Pod względem technicznym był to jeden z najbardziej udanych wzlotów rakiety typu V.

— Nikt mnie nie zapraszał. Kontrolowanie lotu należy do moich obowiązków. Od chwili kiedy VISOR II znalazł się poza Ziemią, nie opuszczałem Zakładów w ogóle. Byłem obecny przy wszystkich próbach nawiązania łączności, zresztą udanych bez wyjątku... Auuu! Panowie, psiakrew!... Czyś pan oszalał!

### Grosvenor

— Policja! Gdzie policja! To bandyta!

### Van Vliet

— To... to ohydna napaść... moja noga...

— Histeria? Ja pana prezesa ugryzę w tydkę...

### Grosvenor

— Żądam ochrony, w przeciwnym razie nie będziemy nic więcej mówić... Tak, tak, nie pomogą ryki.

— Więc... hm, zaprosiłem profesorów Dell'Oca i De Bellard jako współautorów tego odcinka programu. Ponadto w sali odbioru znalazł się doktor Eladio Elso, znany specjalista zagadnień astrobiologii. Bawił u nas przypadkiem w innej sprawie.

— Tak, był też liczny personel pomocniczy. Obsługa radioteleskopu odbierającego sygnały VISORA II znajdowała się w innym budynku. Natomiast w sali ekranowej oprócz wymienionych było jeszcze pięciu techników odpowiedzialnych za zapis sygnałów graficzny i akustyczny, strojenie obrazu telewizyjnego oraz obsługę dodatkowych, niezbędnych urządzeń.

### Van Vliet

— VISOR II przeciął orbitę Saturna 31 kwietnia w godzinach rannych. Wtedy też przybyli do Zakładów uprzedzeni profesorowie Dell'Oca i De Bellard. Przez pięć godzin oczeki-

waliśmy wspólnie na wejście rakiety do ogniska paraboloidy. Nastąpiło to o godzinie czternastej zero sześć. Na chwilę przedtem poprosiłem profesora Grosvenora, aby zechciał nam towarzyszyć. Przyszedł ze swojego gabinetu wraz z gościem, prof. Elso.

E l s o

— Nie byłem uprzedzony co do charakteru doświadczenia, zauważyłem jednak, że Grosvenor zapraszający mnie do udziału w obserwacji jest niezwykle podniecony.

— Kamerę telewizyjną umieszczoną w części dziobowej rakiety uruchomiłem sygnałem radiowym. Niebawem odebraliśmy pierwszy obraz.

— Niestety, obraz nie był taki jak można by sobie tego życzyć. Z całości blisko trzygodzinnego seansu zaledwie dwudziestopięciominutowy odcinek zawiera jako tako prawidłowy i zorganizowany obraz.

— Obserwacja nie jest moją sprawą. Moje zadania jako technika kończą się w chwili uzyskania prawidłowego obrazu. W czasie całego seansu najwyższe staranie zwracałem ku poprawie jakości odbioru.

G r o s v e n o r

— Wolałbym, aby to uczynił dr Elso. Jako nienależący do naszego zespołu, stoi poza wszelkimi podejrzeniami. O ile pamiętam dr Elso przez cały czas obserwacji nie spuścił oka z ekranu.

E l s o

— W rzeczy samej.

— Nie, nie miałem wątpliwości, że transmisja jest autentyczna. Jednak początkowo sądziłem, iż to co oglądam dotyczy którejs z mało znanych planet. Przypuszczałem, iż jestem świadkiem prób technicznych nieprawdopodobnie silnego teleskopu, odbierającego inny zakres promieniowania niż widzialne.

— Zanim odpowiem na dalsze pytania, chciałem zauważyć, że osobnik, który ukrywa się za plecami pana przewodniczącego, tak, tak, ten właśnie... wykonuje pod moim adresem gesty...

— Skromność mi nie pozwala... gesty, no, krótko mówiąc, nieprzyzwoite, panie przewodniczący, wręcz ordynarne...

— Pan wybaczy, trudno abym się odwracał plecami do sali! Ja albo on!

— Dziękuję. Otóż początkowo widziałem niezwykle ostro zarysowany w czarnym tle obraz grupy gwiazd. Niestety nie jestem astronomem ...

G r o s v e n o r

— Była to część gwiazdozbioru Perseusza.

E l s o

— Następnie przez godzinę śledziłem pełzające po ekranie niezorganizowane płynne kształty. Były to smugi i plamy światła o różnym natężeniu. Obraz nabierał jakby przejrzystości i pozbywał się zniekształceń.

#### D e l l' O c a

— Naturalne zjawiska optyczne. Obiekt w kamery przecinał w ognisku pasma promieniowania biegnące pod różnymi kątami. Kiedy ujrzałem tę grę światła i cieni, powiedziałem sobie, iż to samo już dowodzi słuszności naszych założeń. Pełne powodzenie zależało od tego czy rakietka spotka wiązkę promieni biegnących jej naprzeciw po tym samym torze. Tak się stało.

Spotkanie trwało niepełne pół godziny. Byłem w najwyższym stopniu zemocjonowany. Nie wyobrażam sobie, aby uczony mógł otrzymać wspanialszą nagrodą za trud całego życia... Ach! Fuj, to wstrętne... Domagam się... Kto rzucił to jajko? No, kto był tym śmiałkiem, niech się pokaże! Aha, teraz go nie ma...

#### E l s o

— Drogi kolego, musimy to wytrzymać, proszę się opanować.

— Charakter transmisji najłatwiej wyobrażą sobie ci, którzy mieli kiedyś możliwość obserwowania zjawiska fatamorgana. Chcę przez to powiedzieć, że obraz choć niezmiernie wyraźny, drgał jednak, falował chwilami, a po brzegach rozplątywał się jakby topniejąc.

— Był to stale ten sam fragment trawiastego stepu.

#### G r o s v e n o r

— Buszu raczej.

#### E l s o

— Tak, był to busz z uwagi na kępy krzaków, zarośli, drzew nawet. W oddali piętrzyły się góry. Starałem się odróżnić gatunki roślin, to znaczy starałem się zapamiętać najtypowsze cechy. Szybko zorientowałem się, że widzę typową florę wczesnego, plejstocenu, potem wynotowałem: Pimpinella anisum, Datura stramonium, Aspidium filix mas, drzewa: Betula verrucosa, Betula pubescens, Salix alba, i krzewy: Atropa belladonna, Cinchona succirubra...

#### G r o s v e n o r

— Czy nie ponadto nie zaobserwował szanowany kolega?

#### E l s o

— Sądziłem, że to istotne... Przerwę jednak wyliczanie ograniczywszy się do stwierdzenia, że wszystkie gatunki należą do znanych nam na Ziemi.



— Rośliny też są organizmami żywymi. Zapewne chodzi o okazy fauny? Pięć czy sześć razy przemknęły ciemne kształty jakby szybko lecących ptaków. Natomiast wyraźnie widziałem dwóch ludzi...

— Tak... nie sądzę abym mógł w tej atmosferze kontynuować sprawozdanie. Będę zmuszony prosić o zwolnienie mnie z tego obowiązku!

— Więc powtarzam z naciskiem: l u d z i. Twierdzą to z całą odpowiedzialnością naukowca, albowiem ich budowa i sposób zachowania się, nie nasuwały najmniejszych podejrzeń, że jest inaczej.

## D e l l' O c a

— Wzrost jedynie.

## E l s o

— O tym chciałem mówić. Wzrost obu osobników był niezwykle, bowiem osiągał — oceniam przez porównanie z rozmiarami roślin — osiągał 4 lub 5 metrów. Jednakowoż nie jest to cecha wystarczająca do zmiany kwalifikacji gatunkowej. Wzrost dwa i pół, a nawet prawie trzy metry był niejednokrotnie obserwowany u współczesnych nam ludzi.

— Żadne „małpoludy”! Obaj osobnicy — co do ich płci męskiej nie mam wątpliwości — przedstawiali doskonale rozwinięte okazy rasy zbliżonej do typu indoeuropejskiego, a nawet w pewnym sensie ich rozwój sięgał dalej. Przynajmniej według naszych wyobrażeń o dalszych drogach rozwojowych współczesnych nam ras ludzkich. Ciała były w proporcjach bez porównania smuklejsze, czaszki wyolbrzymiałe, jednak nie monstrualnie, natomiast rysy twarzy wysubtelnione przez daleko posuniętą regresję kości szczęk. To samo odnosi się do palców i dłoni.

— Nic więcej. Obaj byli ubrani w przylegające do ciała skafandry pilotów...

## V a n V l i e t

— Nie jest to zupełnie ściśle określenie, powiedziałbym raczej: ubiory. Mogę się jednak mylić. Skafander pilota według naszych pojęć musi zawierać cały szereg urządzeń. Zawsze też wiszą z niego końcówki kablowe, wystają przełączniki ogrzewania, chłodzenia, anteny, lampki. To co widziałem, było zwykłym ubiorem z połyskliwej materii ciasno opinającej ciało.

— Głowy były odkryte. Z całą stanowczością stwierdzam, iż nie dostrzegłem śladu hełmów. Nawet przezroczysta masa jest do zobaczenia w pewnym oświetleniu. Na koniec hełm pociąga za sobą konieczność oddychania gazem z pojemnika, który nie dałby się ukryć bez śladu w cienkim ubiorze.

## G r o s v e n o r

— W trakcie obserwacji każdy z nas snuł oczywiście najróżniejsze domysły, jednak później doszliśmy do zgodnego wniosku: jeśli przyjmuje się, że oglądamy Ziemię z okresu sprzed około 500 tysięcy lat — tym samym należy wykluczyć ziemskie pochodzenie oglądanych „ludzi”. Nauka dowiodła już w sposób nie budzący wątpliwości, że w tym czasie na Ziemi mogły rozwijać się dopiero wczesne formy pitekantropoidalne, które... nie mogą po-

wstrzymać się od gorzkiej uwagi, które, jak się okazuje w tej sali, wcale nie wyginęły...

— A rycie, rycie sobie!

### Van Vliet

— Zauważyłem, ów przedmiot był dobrze widoczny po prawej stronie obrazu, choć częściowo zakrywały go krzaki.

— Nie wiem czy mógł, jako technik nie mogę wysuwać zbyt pospiesznych przypuszczeń. Mogę stwierdzić jedynie, że nie było w jego wyglądzie nic uniemożliwiającego taki lot.

— To raczej nie. Jeśli już szukamy porównań, to z pojazdem typu pomocniczego, takim, który na przykład służy do przenoszenia się z Ziemi na sztuczne satelity.

— Oczywiście, satelitą może być przez pewien czas statek, jest to bardzo dogodny system.

### Els o

— O, i to bardzo żywo. Chodzili tu i ówdzie, rozglądali się. Jeden z nich zrobił na mnie wrażenie jakby badacza przyrody w najwyższym stopniu zainteresowanego otoczeniem. Rozmawiał i gestykulował z ożywieniem...

— Jak to skąd? Ruchy warg!

### Van Vliet

— Aparatura odbiorcza była przystosowana do odbioru wszelkiego rodzaju zjawisk, także akustycznych, ale w tym wypadku o odbiorze głosu nie ma co marzyć. Dźwięki nie wychodzą poza strefę atmosfery ziemskiej, a już zupełnym absurdem jest przypuszczać, że mogłyby ze swoją minimalną szybkością rozchodzenia się, towarzyszyć promieniom światła...

— To już nie moja sprawa.

### Grosvenor

— Zadanie odczytania słów powierzyliśmy specjalistom językoznawcom. Dysponując filmowym zapisem obrazu, poprzez analizę ruchów warg, języka i konfrontowanie ich z ogólnym zachowaniem się postaci, zdołali z dużym prawdopodobieństwem odtworzyć fragmenty rozmowy.

### Els o

— Dzięki temu, nie uciekając się już tylko do przypuszczeń, łatwo opisać przebieg owej wizyty na Ziemi. Spośród dwóch osobników jeden okazał się uczonym, czy też badaczem. Przyjeliśmy, iż jego towarzysz należy do obsługi technicznej, jest zainteresowany pracą jaką wykonuje uczony, lecz nie orientuje się w jej szczegółach.

— Oglądali krajobraz patrząc bacznie w różne strony. Dokonywali też oględzin flory, ściśle mówiąc robił to towarzysz uczonego. Schylał się wielokrotnie, proszę pamiętać o

wzroście; dla zerwania liścia czy gałązki. Ze zdumieniem widocznym na twarzy pokazywał je uczonemu, który udzielał objaśnień. W pewnej chwili uczony zdecydował „Tutaj!” Pojęliśmy bez trudu znaczenie gestu. W tejże chwili towarzysz uczonego zaczął wołać w stronę przedmiotu za krzewami.

Van Vliet

— Widziałem. Nie przypuszczam, aby to był żywy organizm. Raczej niezbyt skomplikowany rodzaj robota.

— Oczywiście, że można je wzywać głosem. Posuwał się zapewne na podwoziu gąsienicowym, jednak to tylko domysł, gdyż podstawę robota zasłaniała trawa.

Els o

— W klatce...

Van Vliet

— Z przedniej części pancerza robota, który budową przypominał nieco żółwia mechanicznego, wystawało kilkumetrowe ramię dźwigu z kleszczowym hakiem na końcu. Kleszcze zwierają się na uchwycie walcowatego, nieprzezroczystego pojemnika. Natychmiast dojrzałem zarys kłapy czy drzwiczek. Sądziłem, iż to zasobnik z aparaturą, jednak kiedy robot postawił ciężar obok ludzi... Au! Znowu z tym grochem... Aj! Nie, to nie do zniesienia! Przystań, bałwanie! Bo...

Els o

— To była klatka! Otworzyli kłapę i natychmiast ze środka wyskoczyły dwa stworzenia. J... ja nie mogę mówić dalej.

Grosvenor

— Aby uprzedzić ewentualne zarzuty, stwierdzam, że materiał zdjęciowy otrzymało niezależnie od siebie trzech antropozoologów. Nie poinformowano ich o pochodzeniu zdjęć. W niezwykle krótkim czasie otrzymałem trzy niemal jednobrzmiące ekspertyzy. Odczytam fragment: „Samiec i samica, doskonale rozwinięte i prawidłowo uwłosione młode okazy tego samego gatunku. Wszelkie dostępne dla obserwacji cechy są właściwe dla rodzaju *Homo Pithecanthropus*.”

Els o

— O, ja nie miałem żadnych wątpliwości. Parka małpoludów nie przekraczających wzrostem 150 cm, natychmiast zaczęła szukać pożywienia. Długimi rękami rozgarniały kępy traw i rozgrzebywały ziemię. Musiały coś tam znajdować, zapewne owady czy inne drobne

zwierzęta, gdyż wielokrotnie podnosiły ręce do ust i zaczynały poruszać szczękami.

— Stali z boku. Obserwowali całą scenę z wysokości swoich czterech metrów. Uczony cieszył się z czegoś najwidoczniej...

### Grosvenor

— Mam przy sobie. Językoznawcy dokonali godnej podziwu pracy. Zaznaczam, że tekst jest w przekładzie dość dowolnym. Oryginał jest jak się zdaje bez porównania bardziej lakoniczny. Czytam:

— Żerują!

— To dobrze?

— Znakomicie! Świetnie zniosły podróż.

— Wracamy?

— Chcę jeszcze popatrzeć.

— Mają tu dużo pokarmu...

— Mnóstwo! W ogóle znalazłem wymarzone warunki dla eksperymentu.

— Długo tu zostaną?

— O, bardzo. Dopiero po kilkuset pokoleniach wykażą zmiany.

— Zmiany?

— W swoim rozwoju powinny się zbliżyć do nas.

— Inteligencja?

— Tak, ale również budową ciała.

— Dlaczego trzeba było aż tu je przywozić?

— Odosobniona planeta wyklucza wpływy zewnętrzne, przy tym mogłem tu spreparować atmosferę.

— Po co?

— To ogromnie przyspieszy ich rozwój.

— Azot?

— Tak, ponad 75 procent.

— Ciężko oddychać.

— Przyzwyczajają się...

— A co będzie potem? Zabierzemy je stąd jak już zbliżą się do nas inteligencją?

— To nie miałyby sensu, będzie ich za dużo, kilka miliardów.

— Więc co?

— Po zakończeniu obserwacji napromieniuje się je. Wysterylizowane same wymrą stopniowo.

— O! Co one robią!

— Oho, już zaczęły...

— Biją się?

— No nie, raczej wprost przeciwnie... Zostawmy je teraz w spokoju na te dalsze kilka setek tysięcy lat.

### Van Vliet

— Widziałem jedynie, że wraz z robotem odeszli w stronę przedmiotu za krzakami i tam znikli, zapewne zagłębiwszy się we wnętrzu kadłuba. W następnej chwili przedmiot zniknął i w polu widzenia zostały tylko owe dwa stworzenia...

E l s o

— Nie wyrażałbym się w ten sposób o swoich przodkach.

V a n V l i e t

— Po kilku minutach obraz zaczął falować i rozpadać się. VISOR II opuszczał strefę ogniska.

G r o s v e n o r

— Złożyliśmy sprawozdanie według naszej najlepszej woli. Głupotą jest zarzucanie nam winy.

V a n V l i e t

— Chcę podkreślić, że wiązka twardych promieni, jaka dosięgła Ziemi poprzedniej nocy, pozbawiając żywe gatunki, w tym i rodzaj ludzki możliwości reprodukcji — nadeszła z zupełnie innego kierunku niż ten, w którym wysłany był VISOR II. Nie rakieta spowodowała klęskę, natomiast lot pozwolił szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyjaśnić jej powody.

D e l l' O c a

— Obawiam się, że nasze pochodzenie na Ziemi, aż nadto wyraźnie zostało wyjaśnione. Zwracam uwagę, że jeśli nie przerwiemy dyskusji, za około sto lat wymrą bezpotomnie ostatnie z dzisiejszych niemowląt. Radziłbym porzucić natychmiast to niemądre śledztwo. O ile zdołałem się już zorientować, nasi biolodzy posiadają środki ratunku. Wydaje się, że eksperymentatorzy nie docenili powodzenia ekspery... Precz! Precz, łotrze! Mam cię... Panowie, ten staruszek szturcha mnie wciąż laską w... w plecy.

## **Niezniszczalne**

*Grotowi*

Ogromnie nas bawił. Drobniutki i chudy, ledwie sięgał nam do pasa, za to energia! Miał jej niespożyty zapas. Godzinami potrafił snuć się za którymś z nas, zabiegać drogę, patrzeć w oczy i mówić nieprzerwanie o Ziemi.

Już wtedy, kiedy celując palcem we własną pierś, powiedział pierwszy raz: „człowiek!” Buxt nazwał go „człowieczkiem”. Miał ochotę go pogłaskać, ale wydał mu się zbyt kruchy i delikatny. Wszyscy zachodziliśmy w głowę jakim cudem to mizerne ciało tyle zniosło! No i nikt nie okazywał zniecierpliwienia kiedy człowieczek podskakiwał za nim krok w krok po całym statku, tylko po to, aby mówić na ten jeden, jedyny temat, który wypełniał mu łebek bez reszty.

Zebrałiśmy jego raketkę gdzieś pomiędzy Atraz i Gienah i w pierwszej chwili nikt nie

miał pojęcia, że w środku jest żywe stworzonko. Ba, dopóki odległość była wielka, a owo coś dostrzeżone przez teletaktor, podobne do kropki przesuwał się po gwiazdnym tle, sądziliśmy, że to pospolity odłamek martwej materii, a potem, że zaniechany gdzieś, kiedyś szczątek konstrukcji. Zmieniliśmy zdanie, kiedy powiększone zdjęcia ukazały coś co pozwalało od biedy doszukać się prymitywnej celowości w obłym, wrzecionowatym kształcie, zwartym i zamkniętym w sobie. Statek? Raczej — wehikuł... Tylko te jego mikroskopijne rozmiary!

Zapadła decyzja o wzięciu go na pokład. Rozpoczęły się manewry, zmiana kursu, wytracanie szybkości. Musieliśmy powściągnąć ciekawość.

Przyszła jednak chwila, że skorupka spoczęła na uchwytach w środkowym laboratorium, a my staliśmy dokoła, niepewni jeszcze co znajduje się w środku. Ktoś niecierpliwy rzucił myśl, aby przeciąć ją wzdłuż magnetotomem. Jednak, co za szczęście dla człowieka, wszyscy pozostali sprzeciwili się temu. Czuliśmy, że mamy do czynienia z czymś zupełnie nieznanym. Zaczęło się więc od prześwietlań i analiz warstwowych, które niemal natychmiast ujawniły obecność nieruchomego organizmu.

Wydobyliśmy go, a raczej wyłuskali, jak owada z poczwarki, ale nasza wiedza o jego pochodzeniu nie postąpiła przez, to ani kroku naprzód. Wydał nam się martwy i zimny jakby przejęty chłodem pustki międzygwiazdnej, która zdołała przeniknąć ściany pojazdu. Swój powrót do życia zawdzięcza Hexowi, który odkrył, iż nie jest to stan śmierci fizycznej i potrafił odnaleźć metodę cofnięcia letargu.

Przez wiele dni zachodziliśmy do sali, gdzie bezwładny, gołoskóry stworek z wolna porzuczał barwę szarozieloną, nabierając krwistego koloru życia. Z czasem i czerwień ustąpiła bledszemu odcieniowi. Organizm powrócił do normalnych funkcji krążenia i spalania. Wtedy to zaczęło się budzenie świadomości i człowieczek po raz pierwszy poruszył wargami. Zrazu dźwięki były nieartykułowane i trudne do uchwycenia, jednak automaty prowadziły ich zapis. Wreszcie na długo przedtem zanim otworzył oczy, z jego ust zaczął wylewać się potok słów i całych zdań. Poddane nieskomplikowanej analizie, pozwoliły nam rozumieć niemal wszystko, zanim on sam zdał sobie sprawę, że w ogóle istnieje.

Zaś potem, potem chodził za nami, przypinał się kolejno do każdego i zmuszał do słuchania. Nie był nawet ciekawy, w jaki sposób uratowaliśmy go, nie zdawał się dziwić naszym wyglądem, nic go nie obchodziły urządzenia, o jakich przedtem nie mógł mieć pojęcia — nic! Tylko Ziemia... Na próżno Buxt, chcąc go oderwać od wiecznego tematu, próbował czegoś nauczyć. Wszystkie próby tresury zawodziły. Człowieczek milkł na chwilę, chmurzył się, nabierał oddechu i zaczynał niezmiennie: A u nas na Ziemi...

Dopiął swego, mogliśmy już tylko słuchać. Czegóż to nie hodowano na statkach w owym czasie! A teraz i my mieliśmy swojego człowieka. Więc szczebiotał o jakichś trawach sięgających do kolan, o czymś co nazywał strumieniami, w których można dostrzec błysk pstrąga. Biegł za kimś przez nie kończące się korytarze szóstego pokładu, nie mógł na dążyć na swoich króciutkich odnóżach i wołał o nieznanym nam zjawisku tęczy i okrywaniu się łąk mgłą przed świtem. Lecz był to jedynie początek, tło, na którym budował obraz z żelaza, betonu i szkła. Ramiona kratownic sięgały pod niebo, okowy kesonów ujmowały morza, lśniące tarcze kopuł nakrywały miasta...

— Hex — spytałem kiedyś lekarza — myślisz, że z nim jest wszystko w porządku? Rozumiesz, mam nadzieję, o co mi chodzi?

— Oczywiście! — roześmiał się. — Jest zdrowy i normalny. Widocznie oni tacy są.

W gruncie rzeczy lubiliśmy go prawdziwie i nawet stał się czymś w rodzaju maskotki. Wszyscy cieszyli się z jego radości, kiedy Szef oznajmił, że zmieniamy kurs i lecimy ku Ziemi. Człowieczek zbladł, zatrzepotał powiekami, znów poczerwieniał i wykonał taniec obłądnego triumfu. A przecież nie ze względu na niego porzuciliśmy dotychczasowy kurs, ostatecznie była to ekspedycja badawcza i zależało nam na każdym nowym gatunku gdziekolwiek złowionym. Ich poziom rozwoju nie miał żadnego znaczenia. Choć, sądząc z samych rozmów

z człowieczkiem, to właśnie oni mieli nas olśnić...

Nie był na Ziemi od trzech tysięcy lat. Wiedział o tym, bo nie ukrywaliśmy wyników badań nad jego rakieta. Przyjął to spokojnie, obojętnie nawet i chociaż nic nie powiedział, można było się domyślać milczącego: Więc co? Zbyt podniecała go nadzieja powrotu, aby mógł myśleć o zmianach, jakie tam zaszły bez wątpienia. Było to zrozumiałe biorąc pod uwagę jego możliwości odczuwania i tak zresztą nie najgorsze. Tkwiła w nim taka ufność, że zastanie wszystko, zmienione trochę, ale wciąż jeszcze znajome, bliskie i niezapomniane, że nikt z nas nie miał serca ostrzegać go przed rozczarowaniem. Cieszył się z niespodzianki jaką uczyni nieoczekiwanym powrotem. Od dawna uznano go pewnie za zaginionego. Jak twierdził, był ofiarą próbnego — pożalić się — lotu. Odbyswał go pogrąony w letargu. Rakieta, sterowana z Ziemi, miała być automatycznie sprowadzona do lądowania. „Widocznie — mówił nam — coś się nie udało i pojazd umknął w przestrzeń. Tylko pech sprawił, że go nie złowiono”.

Kiwaliśmy głowami słuchając o tych „rakietach”, które miały go złowić i w milczeniu wymienialiśmy spojrzenia. Już prawdziwym cudem wydawał się jego rajd w tej skorupce przez pół Galaktyki! W takich razach Buxt zawsze próbował pogłaskać go pod włos, ale narażał się tylko na gniewne parsknięcie.

Nie mieliśmy trudu z odszukaniem Ziemi. Tylko w pierwszej chwili ogarnęła nas konsternacja kiedy człowieczek zaczął wymieniać nazwy gwiazd widocznych z jego planety i podawać ich namiary. Cóż mówiły nam nazwy! Ale już w następnej chwili, naskrobał jak umiał swoje wyobrażenie Galaktyki, umiejscowił na rysunku Słońce, a potem wszystkie nieliczne jakie był w stanie zapamiętać mgławice, obłoki materii, gromady kuliste, łańcuszki gwiazd. Ten szkic porównał Axt z naszymi mapami i natychmiast złapał podobieństwa. Odtąd szliśmy jak po sznurku. Człowieczek nie dawał nam spokoju, a odkąd teletaktor złapał po raz pierwszy światło jego Słońca, stał się wprost niemożliwy.

— Zwiążemy cię przed lądowaniem! — żartowaliśmy, a on wypalał natychmiast pytaniem:

— Jak sądzicie, usunęli już lody z biegunów?

Mimo gorących namawiań człowieczka, aby lądować na Ziemi całym statkiem z pełną załogą, co według jego zapewnień miało być przyjęte przez Ziemian z najwyższą radością, zatrzymaliśmy się opodal. Na Ziemię miał udać się tylko rekonesans. Niebawem ustalono, że oprócz człowieczka polecą Buxt i Soux, jednak ten ostatni nie mógł przerwać jakichś swoich badań i los padł na mnie. Byłem więc naocznym świadkiem wszystkiego co się następnie wydarzyło.

W chwili startu patrolu panowało pewne napięcie, bo jednak nie mieliśmy pewności dobrego przyjęcia. Łączności z Ziemią nie udało się nawiązać, sądziliśmy, iż naturalnie nie rozumieją naszych sygnałów. Mogli też jednak przyjąć postawę wyczekującą. Coś z nastroju udzieliło się i człowieczkowi, gardło miał ściśnięte, kiedy gramolił się do kabiny. Buxt podniósł go za fałd na grzbiecie i wsadził do wymoszczonego uprzednio miejsca.

Milczał kiedy odrywaliśmy się od statku i w czasie lotu. Zresztą przyspieszenia były ogromne, mimo iż regulowaliśmy je według jego możliwości. Leżał wtłoczony w fotel, a chwilami tracił przytomność. Polecenia mieliśmy aż nadto wyraźne — lądować w najkrótszym czasie, bez okrążania planety. Obraz jej powierzchni z błyskawiczną szybkością rósł w ekranach, wypełniał je i nasyczał barwą.

Po otwarciu luku, zczekaliśmy z Buxtem po obu stronach wyjścia, aż człowieczek przebrnie strome stopnie wyłazu i pierwszy znajdzie się na zewnątrz. Należało mu się to za ubarwienie naszej monotonnej podróży, choćby nawet miał teraz uciec.

Odpiął klamry hełmu, odrzucił go na bok, zdarł z siebie kombinezon. Uczynił kilka kroków, potknął się, a może ugięły mu się nogi, dość, że padł na kolana, a potem przewrócił się jak zwykle niezdarnie.

Prawdę mówiąc, trawy były ogromne, a przy każdym poruszeniu ulatywały przed nami wachlarze terkoczących zwierzątek. Wiatr lekko kołysał łanami żdźbeł, a wtedy człowieczek stale biegnący przodem z rozognionym wzrokiem, zatrzymywał się i całą pierś wdychał tchnienie wiatru pełne zapachów, o których my, zamknięci w skafandrach, nie mieliśmy żadnego pojęcia. Przyjemnie było patrzeć jak odżywał znalazłszy się we właściwym sobie środowisku. Niestety, nigdy by się nie mógł tak czuć w najlepszych nawet warunkach hodo- wli.

— Za tym pagórkiem — wołał — zobaczymy domy! Słowo daję! Jesteśmy w Europie a tu mieszka diabelnie dużo ludzi...

Poprawialiśmy z Buxtem uchwyt broni, nic nie można było przewidzieć i pieliśmy się za człowieczkiem po steku pagórka, aż do grzbietu, z którego otwierał się szerszy widok — znów na rozgrzane trawy, na dalsze pagórki i niewielkie kępy zarośli i znów trawy, aż do horyzontu gdzie ciemnym pasmem leżał grzebień wysokich roślin. Zatrzymał się, a po charakterystycznych ruchach nozdrzy i rozdymaniu się górnej części tułowia, poznaliśmy, że jest zmęczony.

— Trochę się tu zmieniło — powiedział. — Może byśmy podjechali kawałek? Nie jestem mocny w chodzeniu, nie miałem do tego okazji ostatnio...

Lecieliśmy na sporej wysokości, gotowi wylądować gdy tylko ukaże się osiedle. Nie uchodził naszej uwadze żaden szczegół terenu. Lecz wciąż były to tylko trawy, kępy zarośli, łańcuch pagórków okryty wysokim lasem, koryta ciekłej masy wijące się zakolami, znów lasy, które zrzedły u podnóża skalistych wypiętrzeń. Pod nami była biel śniegów i błękit lodowych jeziorów ujętych w skalne kotły. Góry skończyły się i do tyłu popęzła zwolniona płachta zielonej puszczy, a wciąż jeszcze człowieczek nie dawał znaku do lądowania. Przypięty do wizjera, raz po raz wykrzykiwał nazwy rzek i jezior. Nie mieliśmy wątpliwości, że poznaje teren, że zna go jak własną kieszeń, ale wszędzie tam gdzie wskazywał wyciągniętym palcem i mówił: „Tu powinno być miasto — albo — zaporą wodna — albo — tor expressu...” — nie mogliśmy dojrzeć nic poza tym co, jak nam się zdawało, sama natura zasiała lub uformowała.

A człowieczek obracał ku nam spojrzenie wielkich pytających oczu z mrugającymi płatkami skóry, które zawsze nas tak rozśmieszały. Znów stał się ponury, zaciął się w milczeniu, baliśmy się, że będą kłopoty z karmieniem go. Widać było, że nic nie rozumie, i że nie tyle znaczą dla niego same zmiany czy ich przyczyna, ile niemożność udowodnienia nam, obcym, iż rzeczywistość przerasta wszystko co zdołał opowiedzieć o tutejszej cywilizacji. Pięścią uderzył w obudowę wizjera i jak sędzę coraz dotkliwiej odczuwał nasze niby pełne uwagi i napięcia oczekiwanie, w istocie podszyte odrobiną kpiny.

Ostatecznie cóż dla nas znaczyła cała ta sprawa! Z powodzeniem moglibyśmy w tej samej sekundzie zabrać manatki i lecieć gdziekolwiek indziej.

— W porządku — powiedział z ulgą. — Wszystko rozumiem. Widocznie porzucili pewne tereny i przenieśli się do innych o lepszym klimacie! — uśmiechał się, aby dać do zrozumienia, że wszystko jest w najlepszym porządku i wcale nas nie ominie ogromna porcja zdziwienia, na widok tego co zdołali zbudować.

— Ta część kontynentu — dodał po chwili pewnym siebie tonem — służy prawdopodobnie jako rezerwat, rozumiecie, chodzi o miejsce gdzie siły przyrody mogłyby działać w sposób naturalny.

Znów był sobą. Potakiwaliśmy gorąco. Dałem mu coś słodkiego do schrupania, zawsze staraliśmy się mieć coś w kieszeniach. Bardzo to lubił. Mijała godzina za godziną, niemal cały glob przesunął się pod nami — największe kontynenty, obszary pod równikiem i biegunowe, łądy, urodzajne niziny, słoneczne płaskowyże — ale wciąż nie było śladu mieszkań- ńców.

Po sześćdziesięciu godzinach stało się najzupełniej jasne: jeśli istniała tu kiedykolwiek



cywilizacja i zorganizowane społeczeństwo, które zbudowało rakiety człowieczka, to teraz nie było po nich śladu...

Nie, ślad był! Wylądowaliśmy w miejscu gdzie człowieczek spodziewał się ogromnego centrum wielkowiejskiego. I tym razem wyskoczył przed nami, ożywiony nadzieją, której miał niewyczerpane zasoby. Jednak nie był już tym samym człowieczkiem jakiego znaleźliśmy, przerzucającym się z nastroju w nastrój, rozbawiającym wszystkich, to znów smutnym. Coś w nim gasło bezpowrotnie i jeśli ożywiał się chwilami, był to tylko marny płomyk wobec dawnego ogniska energii i entuzjazmu, jakie rozpałał w sobie przy lada okazji.

Znaleźliśmy: pod warstwą gleby, korzeni i próchnicy, pod kozuchem darni, pokład złuszczonej rdzy, a głębiej okruchy betonu. To było coś, tym bardziej, że ciągnęło się na przestrzeni trzydziestu kilometrów i ostatecznie mogło być uważane za jakieś świadectwo, wcale zresztą nienajgorsze. Buxt pogłodził człowieczka po grzbiecie i powiedział.

— W porządku, miałeś rację, musiało tu być diabelnie wielkie miasto...

Jakby niespełna rozumu powtórzyłem za nim.

— Diabelnie wielkie, wyobrażam sobie...

— Nic sobie nie wyobrazasz! — przerwał człowieczek. Otrząsnął się po dotknięciu Buxta i tupiąc nogami, zacisnąwszy pięści, chrypiał z wściekłą nienawiścią: — Nic! Wy obaj, ani nikt w ogóle! I ja sam także, pomyliłem się, cha cha... Okłamałem was i dajcie mi spokój, do diabła! Nic tu nie było oprócz babek z piasku, te budyneczki z pianki morskiej, te mosty ze słomki... Bujałem, że tu była jakaś cywilizacja...

Bełkotał niezrozumiale, osunął się na ziemię. Wtedy dostrzegłem, że Buxt trzyma palec na spuście zasobnika z którego tryska smużka usypiającego gazu.

Byłem przy nim kiedy otworzył oczy. Zdawało się, że nie będzie nic pamiętał, ale on natychmiast, jakby dwudziestogodzinny sen nic nie znaczył, zapytał chwytając mnie za fałd kombinezonu.

— Wybuch?

Pogłaskałem go odruchowo, ale nawet nie zwrócił na to uwagi.

— Nie! — odparłem: znaleźliśmy już wyniki badań Buxta, opuścili tę planetę odlatując wszyscy, licho wie dokąd. — Nie było żadnego wybuchu, przykro mi, ale nie było. Jednak — dodałem — trzy tysiące to dość czasu, żeby skruszyć...

Przymknął te płatki skóry, za którymi ukrywał oczy i przestałem mówić. Wówczas poprosił, abyśmy dokonali jeszcze jednej próby.

Byliśmy w powietrzu kiedy w słuchawkach rozległ się głos Varxa:

— Mam coś dla was — powiedział jakoś dziwnie. — Diabelnie głupia historia, miałem kontakt z bazą: to jest nasza własna stara Ziemia, którą zostawiliśmy przenosząc się do Al Tarfa... I... i — jękał się — bardzo was proszę, chłopcy, przestańcie go głaszać po głowie, bo... bo może głaszczecie własnego pra-pra-dziadka...

Słońce wychyło ponad horyzont, poranny wiatr ruszył krzakami. Wyszliśmy z gąszczu rozgarniając gałęzie. Szedł przed nami, patrzyłem na te wielkie uszy i sierść na głowie i zaczynałem rozumieć jego wściekłość — bowiem teraz, o czym on jeszcze nie wiedział, stało się przecież i naszą sprawą, aby coś znaleźć.

Wówczas zjawily się nam one. Niczym nie przesłonięte, ostrzami trójkątów bodły niebo i wszyscy byliśmy pod nimi bardzo mali. Stały w słońcu, najpierw czerwone, potem, kiedy wypłynęło wyżej, ponad przyziemne ławice obłoków, rozjarzone do białości. Wiatr owiewał je welonami sypkiego kurzu porwanego z pustyni. Poznaliśmy, że czas nie ma do nich dostępu, że wszystko przetrwały one jedne!

— Teraz widzicie! — zawołał nasz towarzysz. — Przyjrzyjcie się dobrze piramidom, bowiem jestem pewien, że wam nie śniło się nigdy o czymś podobnym!

## Trolejbusy przed śniadaniem

Jeśli Jo Selka cierpiał na bezsenność, to musiała za tym tkwić jakaś niepospolita przyczyna. I oczywiście tkwiła. Zresztą nikomu innemu takie rzeczy się nie zdarzają. Spotkałem go najbardziej niespodziewanie pośród wzgórz Pemboco, gdzie pokładając się ze śmiechu szedł do koleoptera. Sądziłem, że coś z nim niedobrze, ale on właśnie uporał się z tą dziwną sprawą i wcale nie musiałem go prosić, żeby zaczął:

— Powiadam ci, brachu, z początku wcale mi nie było do śmiechu. Nie ma głupszego uczucia, jak to, kiedy się człowiekowi wydaje, że ktoś go śledzi z ukrycia. Trwało to już od kilku dni i właściwie nabrałem zupełnej pewności, że coś się czai i krąży niepostrzeżenie. Boisz się nawet zmrużyć oczy, bo wtedy mogłoby się zbliżyć i...

Nie spałem i słyszałem nocami jakby szmer delikatnego mechanizmu. Wtedy, choć włosy mi się jeżyły na głowie, wychodziłem na zewnątrz i myszkowałem po krzakach. Nic tam nie było.

Działy się już ze mną niezbyt dobre rzeczy, kiedy nareszcie wczesnym rankiem, znalazłem przed wejściem trolejbus... Słowo daję! Nie łżę ani słowa! No, na razie nie miałem pojęcia co to jest. Leżała bestia na boku, wielka, czerwona, a ja łąziłem dokoła i byłem zupełnie bezradny. Obejrzałem czarne blachy na spodzie, dotknąłem kół z nadętych pneumatyków, a po drugiej stronie, na wypukłym grzbiecie odkryłem dwa wysmukłe pręty niby czułki martwego owada. Ciekawy jestem czy na moim miejscu byłbyś mądrzejszy? Dopiero jak zajrzałem do środka i zobaczyłem rząd foteli, zaczęło mi coś świtać. Zaraz pobiegłem do Informatora i znalazłem bez trudu: „Trolejbus. Bezszynowy pojazd komunikacji miejskiej o napędzie elektrycznym, pobierający energię z dwuprzewodowej sieci napowietrznej za pomocą odbieraków prądu. Lata 1910 — 1995”.

Coś z tym trzeba było zrobić, chłopie! Tym bardziej że następnego ranka znalazłem drugi. Słowo! Leżał do góry kołami, zgniółł mi całą kępę selenodendronów. Zachodziłem w głowę ki diabeł je przytaszczył. Tymczasem przyszła noc, następny ranek i... był trzeci.

O, powiedziałem, Jo Selka weź się do kupy, bo za tydzień nie wygrzebiesz się już spod tych zardzewiałych pudeł. Wtedy przyszło mi do głowy coś takiego, od czego od razu usiadłem na ziemi jakbym dostał obuchem. Ni mniej ni więcej tylko pomyślałem, że ich w ogóle nie ma, a ja... Zacząłem się szczypać i szukać czegoś do klucia. Kto wie do czego by doszło, gdyby nie zjawił się koleopter ze Sheenanem, tym facetem z Muzeum Techniki na Far Oer. Nie chciał wierzyć, że mi uratował życie, a ja naprawdę już, już coś bym sobie zrobił. Był bardzo grzeczny i od razu mnie przeprosił, chociaż sam nie wiedział jeszcze co się dzieje. Trolejbusy ginęły mu w nocy z terenu wystawowego bez żadnego śladu. Obiecał, że je wkrótce zabierze i odleciał. Dla niego sprawa była skończona, ale ja wiedziałem, że to c o ś jest nadal w pobliżu. Nie było rady, wziąłem się w garść i jak w dym do Centralnego Analizatora, bo wiedziałem, że sam już nic nie wymyślę.

Wiesz jak to jest, kiedy człowiekowi pakują łeb do tego pudła i każą wdychać coś, od czego wszystkie gwiazdy stają w oczach... Zaczyna się wtedy żałować, że się przyszło, ale już jest za późno. Cały huragan prądów kręci się po mózgu i wścibia się do każdej dziury. Ja mam zawsze wrażenie, że mi ktoś grzebie tam brudnymi paluchami, a ty?

Grunt, że się czegoś dogrzebie! W normalny sposób to już nie potrafię sobie przypomnieć najprostszej sprawy. Na tym się skończyło, że wyszedłem na światło dzienne i trzymałem w rękach pasek folii z dwoma słowami: **DZIADEK GRACJAN**.

Jasne! Wszystko jak żywe stanęło mi przed oczami. Uchwyciłem to, jak się mówi, zębami i pazurami i powiedziałem sobie, że mnie zaprowadzi po nitce do kłębka. Miałem dziadka, bracie, to nic dziwnego, chociaż i to można zapomnieć, bo żył około dwutysięcznego i umarł zanim byłem w stanie go zobaczyć. Potem byłem za młody, żeby chcieli mi to opowiadać, a

kiedy podrosłem, już sam nie bardzo się kwapiłem. Dziadek zginął w katastrofie ulicznej, a to miało jakiś związek z aferą... No, zgadnij jaką? Trolejbusową, miły bracie!

To było wszystko co wiedziałem, ale teraz już nic mnie nie mogło powstrzymać, po prostu musiałem dowiedzieć się wszystkiego do końca. Gdzie? Oczywiście w domu dziadków! Byłem pewny, że stoi tam gdzieś na wzgórzach Pemboco. Wiadomo, nikt nie rozbiera tych starych siedzib. Przyleciałem tu i do roboty! Nikt mi nie powie, że to było łatwe.

Stanąłem przed takim gąszczem krzaków, że nie wiedziałem gdzie palec wetknąć, a co dopiero włożyć cały! Rozsiewało się to dziko przez dziesiątki lat. Zrobiłem co było najlepszego, położyłem się na ziemi i zacząłem pełzać przez tę wilgotną, pachnącą, bzową dżunglę. Patyki włożyły mi do oczu. Było mokro, ciemno i głową uderzyłem w ścianę domu. Znalazłem drzwi, podniosłem się, żeby wejść do środka i byłbym się przewrócił — dostałem zawrotu głowy od samego zapachu kwiatów. Nie wierzysz? Tam nawet liści nie widać, gałęzie oblepione na fioletowo.

W hallu na podłodze gruby pył, pajęczyny. Zdejmowałem je z twarzy całymi garściami. Wcale mi się to nie podobało. Jakbym brnął w pułapkę. Było ciemno, cicho i znowu to uczucie czyjejś obecności. Odwróciłem się gwałtownie i serce podeszło mi do gardła — ktoś stał za mną... No, nie ciesz się, to było lustro. Brudne i porysowane. Dławiło mnie coś w gardle kiedy wsuwałem się do gabinetu dziadka, ale już wołałem iść naprzód niż się cofać. Dałbym głowę, że to coś tylko czeka, żeby mi wskoczył na plecy...

Dobrałem się do biurka, wiesz, taka czarna drewniana skrzynia, trzymali w tym szpargały. Ciągle oglądając się za siebie wygrzebałem notatnik, w którym były stroniczki pisane przez dziadka i babkę na przemian, oraz parę rolek taśmy z pamiętnikiem dziadka. Szperałem w szufladach a ciągle zerkałem na drzwi. Obiecałem sobie, że jak tylko klamka się ruszy, skoczę na łeb na szyję przez okno i żadne krzaki mnie nie zatrzymają.

Normalnie wcale mi się nie spieszy, ale tym razem jakoś bardzo szybko znalazłem to co potrzebne. Myślisz, że łatwo było odczytać te staroświeckie bazgroły? Wcale nie! Za to co się dowiedziałem, to dowiedziałem... Można boki zrywać jak oni wtedy żyli! Puściłem sobie taśmę i to było tak, jakby sam dziadek opowiadał całą historię. Rozwaliłem się na fotelu, słucham tego słabiutkiego głosu, taśmy były zetlałe, i wciąż nie wiem czy dziadek kpi sobie, czy mówi prawdę. Chyba jednak to drugie, bo nie zginąłby tak kiepsko.

Więc mówiłem ci, że około dwutysięcznego pracował w Eksporcie Międzyplanetarnym. Któregoś dnia wzywa go szef i mówi: „Mamy klienta, trzeba się nim zająć” — a przy tym daje do zrozumienia dziadkowi, że to niby on ma zrobić. Staruszek się zmieszał, bo ten gość, to był robot jakiegoś zupełnie nieznanego typu i nikt nie mógł wiedzieć, w jaki sposób mu dogodzić. Od słowa do słowa dowiedzieli się, że przybył z jakiejś planety w VI sektorze. Kapujesz, musieli mu wierzyć na słowo, bo nikt tej planety nie widział, była zasłonięta przez ciemny obłok, ona i jej słońce.

Dziadek wraca jak struty do domu, ogląda się, a ten robot za nim krok w krok. Dziadek wita się z babką, robot też, dziadek idzie się zdrzemnąć po obiedzie, u robot za nim, staje przy tapczanie i mówi, że nie szkodzi, on zaczeka. Chłopie! Dziadek musiał mieć zdrowe nerwy, bo nie tylko to wytrzymał, ale ubił niezły interes. W pierwszej chwili jak usłyszał o co chodzi, poszedł wsadzić głowę pod kran, ale nic mu się nie przesłyszało, bo robot powtórzył to jeszcze parę razy. Chciał, żeby im dostarczać trolejbusy w partiach po 40 tysięcy sztuk miesięcznie. Człowieku! Ty wiesz ile to jest? Czteryście kilometrów bieżących trolejbusa!

Dziadek miał duszę na ramieniu kiedy powtarzał szefowi, ale tamten, stary wyjadacz, nawet nie mrugnął, tylko pyta co dają w zamian? „A to!” — mówi dziadek i podaje jakiś zwitek, który dostał od robota. „Co takiego?” — pyta szef. — „Żadnych weksli nie przyjmujemy!”

Wiesz, stary, co to weksel? Bo ja też nie. Zresztą nieważne. Dali zwitek do badania specjalistom i okazało się, że to nie weksel tylko skrócony zapis nowej, zupełnie nieznannej na

Ziemi nauki. Dziadek twierdzi — rewelacyjnej! Więc przystali na wszystko i rzucili się do roboty. Wcale nie musiało im być lekko z wyprodukowaniem tylu trolejbusów.

No i dobra. Zaczęły się dostawy. Robot wszystko zabierał własnym transportem, raz na miesiąc wracał i jak w dym od razu do dziadka. Przez cały czas pobytu na Ziemi nie odstępował go, zamykali się w gabinecie i nawet babka nie mogła podsłuchać pod drzwiami o czym mówią. Miała tylko niedobre przecucia.

Cała heca zaczęła się dopiero wtedy, kiedy sprawa zainteresowała Służbę Ochrony Ziemi. Dziadek zaraz zwietrzył, że interes musi być niepewny i chciał się wycofać, no, ale zbyt głęboko siedział w tym interesie, żeby go teraz mieli puścić. Zaraz ci powiem o co im chodziło i wcale się nie zdziwisz. Zaczęli obliczać z ilości trolejbusów ilu tam może być mieszkańców i wychodziły takie liczby, że w głowie się mieszało. A robot ciągle zapowiadał, że to mało i zwiększy zamówienie na 80 tysięcy. Strach było pomyśleć co to za planeta i co by się stało, gdyby zechcieli nas napaść...

Najgorsza jest niepewność, szczególnie kiedy się ma do czynienia z wariatami, bo tak wszyscy przypuszczali. Kapujesz — z jednej strony robot, fantastyczne rakiety i nauka o jakiej nam się nie śniło, z drugiej... trolejbusy na pneumatykach. Rada w radę, zaczęli szykować ekspedycję, żeby sprawdzić na własne oczy jak to wygląda. Równocześnie dniem i nocą były w pogotowiu jednostki odporu.

Dziadek przestał sypiać. Za bardzo wziął sobie do serca, że to wszystko od niego się zaczęło, a przecież nie był wcale winien, no nie? W dodatku nie mógł się odczepić od robota i bał się, że go posądzą o jakieś konszachty.

Ci, ze Służby Ochrony nie zasypiali gruszek w popiele i wykombinowali takie różne doświadczenia, aby zdobyć jakieś informacje. No i postanowili, żeby na początek pomalować jedną partię, jak zwykle, na czerwono, ale farbą o innym składzie chemicznym. Dziadek nic nie miał do gadania, musiał się zgodzić. Myśleli, że w razie reklamacji wykombinuje się trochę wiadomości o tamtych. Nic ich nie obchodziło, że dziadek gryzł się po nocach, bo dla niego to było złamanie tej... no wiesz... etyki zawodowej, czy jak to nazywali. Dość, że gryzli się od tego po nocach.

Teraz już wszystko poszło jak strzelił. Robot ledwo zawiózł transport, wraca i buch, do gabinetu. Zamknęli się i od tego czasu nikt się nie dowiedział o czym tam była mowa. Tyle tylko, że babka usłyszała z innej części domu trzask drzwi, kroki, wyrzała przez okno; a tu dziadek blady jak śmierć wybiega na ulicę, rwie sobie włosy z głowy, na nic nie zważał staruszek. I rozumiesz, zgrzyt hamulców, krzyk... Już było po wszystkim kiedy go podnieśli.

W jakiś czas potem babka opisała to w notatniku. Bardzo niedługo mieszkała w starym domu. Píše, że zaczęły ją trapić jakieś przywidzenia i ciągle jej się zdawało, że ktoś jest w pobliżu...

Zacząłem to czytać uważnie, żeby nie opuścić ani słowa, bo przecież ze mną działo się coś podobnego. I co powiesz? Teraz słuchaj uważnie, bracie: w ostatniej chwili, przed wyjazdem, robiąc porządki, babka zajrzała pod biurko dziadka i o mało nie zemdląła — przez cały czas ukrywał się tam robot!

Przeczytałem to i słowo daję, poczułem jak powolutku włosy mi stają na głowie. Siedziałem w tym samym gabinecie, łokcie trzymałem na tym samym biurku. A nogi pod nim! „Absurd! — mówiłem sobie. — Czysty absurd, po tylu latach...” Ale wciąż coś zimnego ścisnęło mnie za gardło, a nogi chociaż były jak drewniane i bez czucia, zaczęły się same wysuwać spod biurka. Możesz nie wierzyć, ale gdy się wysunęły i jednym skokiem wylądowałem na środku pokoju, byłem mokry jakbym wylazł z wody i dyszałem jak po przebiegnięciu kilometra. Słowo daję, żeby nie wata w mięśniach, uciekłbym stamtąd i nadal nic nie wiedział. Minęło parę minut i centymetr za centymetrem, powolutku schyliłem się i zajrzałem pod biurko. Musiałem mieć oczy jak talerze z taką siłą gapiłem się w tę ciemną dziurę.

Był tam, bracie! Obły, jajowaty. W półcieniu jarzyła się niby świecące oko pulsująca

plama zieleni. A więc nie był martwy... Spróbowałem coś powiedzieć, ale to zabrzmiało jak skrzywienie, takie miałem ściśnięte gardło. Rozumiesz, całą godzinę trzymałem obok niego nogi! Spróbowałem jeszcze raz, i paskudztwo, posłuchał od razu — wylazł stamtąd. No, teraz byłem już u siebie, musiałem tylko usiąść, tak mi się nogi trzęsły. Nie spuszczałem z niego oka. Całą powierzchnią lekko opalizował, a chwilami jego kontury całkiem się zacierały.

Nic nie ukrywał, odpowiadał na wszystkie pytania. To był wariat, bracie! Miał osłabiony układ koordynacyjny i wszystkie pojęcia mu się mieszały. Ale gadał tyle, że wreszcie zorientowałem się co i jak było. Na swoją planetę nie chciał wracać, miał powrót odcięty z jakiegoś powodu. Dziadek zniknął mu z „oczu” — te skorupy wyobrażają sobie, że człowiek nie ma prawa umrzeć — zaczął go więc szukać.

Przywiązał się tak bardzo, czy co? — pomyślałem i nawet mnie to wzruszyło, no ale się zorientowałem, że to uczucie ma naturę techniczną. Potrzebował dyspozycji z określonego źródła. Więc szukał i znalazł... mnie!

Co się tak patrzysz? Jeśli mówię, że m n i e, to tak było. Ja też w pierwszej chwili zrobiłem wielkie oczy, ale mi przeszło, gdy spojrzałem do lustra i na fotografię dziadka, podobieństwo kropla w kroplę, rodzinne. Co? Myślisz, że mnie złapałeś? Spokojnie, chłopcze, mówi się „dziadek” i ma się na myśli jakiegoś starego brodacza, tymczasem on był młodym facetem, już mieli wtedy jakie takie pojęcie o medycynie i wcale nieźle się trzymali.

„W porządku — mówię do niego — tylko trzeba było od razu się pokazać, a nie podchodzić mnie w nocy i obrzucać trolejbusami...”

Aha, tego ci jeszcze nie powiedziałem: pokazał mi kleszcze, wysunął je z pancerza. Człowieku! On mógł tym podnieść nie jeden, ale dziesięć trolejbusów... Oczywiście bez żadnego wysiłku, bo bestia wytwarza pole antygravitacyjne i ciężary dla niego po prostu nie istnieją.

Te trolejbusy to był jeszcze ciągle ciemny punkt. Bardzo sprytnie się domyśliłem, że coś takiego robił tam, u siebie, na tej diabelnej planecie, a teraz to już tylko wina rozregulowania, wszystko mu się pomieszało i przynosił je do mnie. Zachodziłem też w głowę co powiedział dziadkowi podczas ostatniej rozmowy...

Powtórzył mi i przysięgam, gdyby to nie była taka stara historia, wyblakła i zwietrzała, zacząłbym biec przed siebie jak dziadek... Doniósł dziadkowi, że nie opuści już Ziemi, dostawy należy przerwać, życie na jego planecie już nie istnieje! Wtedy dziadek zawołał: „Niemożliwe, żeby wszyscy naraz!” A on na to spokojnie swoim mechanicznym głosem: „Jacy wszyscy? Był tylko jeden i ten się otruł.” Dziadek się wściekł i krzyknął, że nie uwierzy, aby jeden facet potrzebował jeździć tyloma trolejbusami! A robot: „Jeździć? Cha, cha, skądże! On je bardzo lubił, zżarł od razu połowę transportu i fałszowana farba zaczęła działać...”

Słowo daję, inaczej by się to skończyło, gdyby dziadek miał odrobinę poczucia humoru... Nie wierzysz? A ja ci mówię, że wszystko prawda i robot jest nie dalej jak krok ode mnie — tak, bracie! A może ci się zdawało, że cały czas siedzisz na kamieniu, co?

## **Towarzyszka kosmonauty**

Poduszkowiec utknął w gąszczu liści i przestał się posuwać naprzód. Sterujący pojazdem Mef nacisnął kontakty i ustała świszcząca praca turbin. Znieruchomiały szarpane powiewem gałęzie. Właziły teraz ponad niskimi burtami do wnętrza i nachylały się ku twarzom ludzi. Nikt nie miał ochoty się odezwać, siedzieli rozparci w fotelach, Pele i Tot z nogami na krawędziach okien. Cisza dzwoniła w uszach, oczy mrużyli przed blaskiem słońca przenikającego plamami w zieloną gęstwinę. Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszył. Milczenie

zaczynało być kłępujące. Wówczas Terlecky nie przestając dłużyć w nosie, powiedział to, co i tak wszyscy wiedzieli:

— Dalej można iść piechotą. Widać go tam, pod drzewami...

— Około pół kilometra — mruknął Pele.

— Mhm... — odezwał się Mef.

Patrzyli poprzez liście na rozległą płachtę łąki, której daleki kraniec otaczały wysokie topole. W ich pasiastym cieniu leżał długi przedmiot o smukłym, obłym kształcie, połyskujący matowo błękitem szlachetnego metalu.

Mef przy sterach obrócił się do tyłu, brodę położył na oparciu fotela i rzucił w stronę siedzących za nim Pele i Tota wiele znaczące:

— No?

— Co, no? — wzruszył ramionami Pele.

Tot udawał, że w ogóle jest nieobecny.

— Słuchajcie! — zirytował się nagle Terlecky. — Trzeba to załatwić...

— Właśnie! — poparł go Mef.

— Nie ma rady... — Terlecky urwał nagle, opadł na siedzenie fotela i znowu włożył palec do nosa.

— W porządku — wycodził Pele w stronę Mefa — nie rozumiem tylko dlaczego się tak na mnie gapisz?

— Bo to — włączył się z niespodziewaną gwałtownością Terlecky — bo to należy do ciebie!

— Doprawdy? — Pele uniósł brwi w niezmiernym zdziwieniu.

— Jesteś szefem załóg — dorzucił Mef zjadliwym szeptem.

— Dziękuję — skrzywił się Pele. — Byłbym zupełnie zapomniał. A może — dodał z gryzącą ironią — przypomnisz też obowiązki pewnemu inspektorowi...

Terlecky poderwał się jak na sprężynie:

— Oszałałeś! — zawołał. — Zapomniałeś chyba, że jestem na urlopie.

— To po coś tu jechał? — odezwał się niebacznie Tot.

— Zamknij się — warknął Terlecky.

— O — ucieszył się Mef — zapomnieliśmy o Tocie.

— I cóż z tego? — Tot wzruszył ramionami.

— Ty się świetnie nadajesz — mówił Mef — załatwisz to doskonale.

— Nie ruszę się z miejsca, ale nie rozumiem — zawiesił głos. — Nie rozumiem dlaczego ty nie miałbyś pójść?

Pele spojrział na Mefa z błyskiem nadziei w oczach, ale się zawiódł.

— Bo nie! — odparł krótko Mef. — A w ogóle — krzyknął — niech was diabli wezmą! Nie chcecie, to nie! Wracamy! Będziecie się tłumaczyć gdzie indziej... — odwrócił się do sterów i porywczo sięgnął do pulpitu, aby włączyć kontakty.

— Czekaj — Terlecky wstrzymał go ruchem ręki.

— Na co mam czekać! — pieklił się Mef. — Wracamy!

— Trzeba to załatwić — powtórzył z uporem Terlecky.

— Taak? — ryczał na całe gardło Mef. — Tylko k t o? Przecież boicie się jednej starej baby...

— Wcale nie jest stara — mruknął Tot.

— Ja pójdę — oznajmił Terlecky.

— Dobra — rzekł z rezygnacją Pele — idę z tobą, nie ma co zwlekać. — Po krótkiej pauzie dodał. — Posiedzę tylko jeszcze chwilę...

Mef uśmiechnął się zjadliwie, ale nic nie powiedział.

— Lepiej chodźmy od razu — namawiał Terlecky — zanim się rozmyślimy. — Uniósł się na rękach, nogi przełożył za burtę i zeskoczył w krzaki. Pele przetarł rękawem czoło i

poszedł w jego ślady. Odeszli kilka kroków rozgarniając gałęzie i schylając się w gęstwinie. Pele zatrzymał się i obejrzał w stronę poduszki. Dojrzał twarze Mefa i Tota. Malował się na nich wyraz ulgi.

— Pele — powiedział miękko Mef — uważajcie na siebie.

— Nadśłuchujcie — poprosił Pele. — W razie czego...

— Naturalnie — zapewnił skwapliwie Tot. — Naturalnie, stary. Spróbujemy nawet podjechać bliżej.

— Nie! — zaniepokoił się Pele. — Lepiej czekajcie tutaj. Musimy wiedzieć gdzie jesteście.

— Chodź! — zabrzmiało z tyłu, gdzie w cieniu gałęzi stał Terlecky. Pele uśmiechnął się blado i ruszył w jego stronę.

— Diabelnie nie mam na to ochoty, to się nigdy dobrze nie kończy.

— Aha! — potwierdził Terlecky brodząc w suchych liściach. — Właściwie to mógłbym nie iść z tobą...

— Sam nie pójdę! — Pele stanął jak wryty, gotów zawrócić.

— Ale jestem ciekawy co to będzie — rzekł Terlecky.

— Och! — zapewnił gorąco Pele. — Za każdym razem jest jakaś niespodzianka. Trzeba się dobrze pilnować z palcem na spuście.

— Ja nawet nie wziąłem spluwy.

— Bujasz... Po co mnie denerwujesz?

— Słowo daję, to w ogóle niepotrzebne. Oni mają takie sztuczki, o jakich ci się w ogóle nie śniło.

— To inna sprawa — zgodził się Terlecky — ale zawsze...

— Nic nie poradzisz, to gorzej niż z wariatami.

— Tyle, że z kobietami łatwiej...

— Oho ho! — powiedział Pele.

Krzaki zrzędy, na ich skraju zobaczyli podłużny kopiec usypany z bryłek ziemi, patyków i pokruszonych liści.

— Mrówki — zauważył Terlecky.

Obeszli mrowisko i wynurzyli się spod gałęzi. Przed nimi była już tylko puszysta równina łąki, a za nią topole. Zatrzymawszy się, patrzyli przez chwilę na to, co leżało połykając matowo w cieniu drzew. Wydało im się, że dostrzegli tam jakieś poruszenie. Oddychali głośno i obaj słyszeli swoje oddechy. Terlecky wytarł czoło odwróconą dłonią.

— Jaka ona jest? — zapytał. — Ładna przynajmniej?

— Zobaczysz! Nie huj się, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.

— Właściwie to niewiele wiem o tej sprawie... Ona go wykończyła?

— Wiesz co? — zirytował się Pele. — Może ja jednak pójdę sam?

Terlecky skrzywił się z powątpiewaniem.

— Co cię tak złości? — zapytał.

— Co mnie złości? — wrzasnął Pele. — Takie głupie gadanie.

— Powtarzam co słyszałem...

Szli teraz w milczeniu, zagłębiając się w łąkę, na ukos poprzez trawy. Topole były jeszcze bardzo daleko. Terlecky zerwał smukłe źdźbło i włożył je pomiędzy zęby.

— Może i wykończyła — powiedział spokojnie już. Pele.

Terlecky nic się nie odezwał, gryzł trawkę.

— Nie byli tam nawet długo — mówił Pele — zaledwie dwa i pół roku...

— Wystarczy. Nie rozumiem tylko dlaczego przypuszczasz, że tam jest coś nie w porządku, skąd ten alarm? Oczywiście! — dodał szybko widząc, iż Pele czerwienieje. — Oczywiście, za każdym razem jest mniej więcej tak samo, ale...

— Tak samo! To ty jej jeszcze nie znasz...

— Sam wiesz, Pele, że byłem na urlopie, a w ogóle jestem tu od niedawna i znam mało osób. Dwa i pół roku temu... Nie, nie mogę jej znać.

— Czekaj nas ładna przeprawa, bracie — powiedział w zamyśleniu Pele.

— Co tam! Martwić się na zapas? Jak wylądowała załoga Neptuna 14...

— Och, Neptuna! — zniecierpliwiał się Pele.

— Też ich nie było dwa lata i ubrdali sobie, że lądują na Ziemi opanowanej przez wroga z Kosmosu. Nikt nie mógł się zbliżyć do statku, bo strzelali czerwoną farbą.

— E...

— Słowo daję, im się zdawało, że to skuteczne. Było, ale nie na długo. Cały personel płyty był czerwony jak raki, a potem farba im wyszła i musieli się poddać...

— Ty jej jeszcze nie znasz — powtórzył z uporem Pele.

— Pewnie — zgodził się Terlecky.

Dotarli do rowu przecinającego łąkę i ruszyli w prawo, aby znaleźć najwęższe miejsce do przeskoczenia. Woda była ciemnobrunatna, pokryta płatami rzęsy. W głębi widziało się splątane gąszcz moczarki.

— Może okazać się — mówił Pele — że wszystko jest w porządku. Chociaż — potrząsnął głową — to wykluczone! Wiesz? Myśmy ją podsłuchiwali przez ostatnie dziesięć dni.

— Jakim cudem?

— Widzisz, ona zapomniała wyłączyć mikrofony i słyszało się każde słowo.

— Wszyscy mówią do siebie: „Teraz Helenka będzie grzeczna i zje ten wstrętny kleik z tubki, bo to pomaga znieść obciążenia przy lądowaniu...”

— Przestań! W tym cała rzecz, że ona nie mówiła do siebie.

— Jego też słyszeliście? — Terlecky aż przystanął.

— Raz! — potwierdził Pele. — Raz zdawało mi się, że słyszę zachrypty i stłumiony głos, ale zaraz ucichł i potem już tylko ona.

— Co mówiła, Pele, powiedz! Jeszcze zdążysz. To nawet lepiej żebym wiedział czego się spodziewać.

— Mnóstwo różnych rzeczy, całymi godzinami. Wiedziałem dokładnie co robi w każdej chwili. Nawet kiedy siedziała nad mikroskopem, usta się jej nie zamykały: „Duża śruba, mała śrubka, trochę w lewo...”

— Tak mówiła?

— Słowo w słowo: „Teraz dobrze, mocniej podświetlić, teraz zabarwić...”

— Co to było?

— Jakieś tam biologiczne doświadczenia.

— No dobrze — zniecierpliwiał się Terlecky — ale nie o to chodzi...

— No właśnie, a potem nagle zapomniała o mikroskopie i zaczynała mówić do niego.

— „Zmarnowałeś mi życie” — odezwał się piskliwie Terlecky.

— Nic podobnego! Mówiła, że go przeprasza, wciąż się usprawiedliwiała.

— O, do licha, to wygląda gorzej!

— „Musiałam ci to zrobić”, mówiła.

— E — przerwał Terlecky — tu już coś bujasz!

— Ani mi się śni, słyszałem to sześć razy dziennie: „Musiałam ci to zrobić, m u s i a ł a m...”

— Ale co?

— Ba, tego nikt nie wie.

— Mówię ci, że go wykończyła.

— Wątpię. Mówiła: „Idź spać, kochanie, gaszę ci światło — albo — nie jest ci chłodno? — albo — zaraz dostaniesz kolację...”

— Fiuuu — gwizdnął Terlecky. — Takie rzeczy?

— Co do słowa. A potem znowu: „Naprawdę nie mogłam inaczej postąpić, nie gniewaj



się na mnie, Hariku, ja tak proszę!”

— Dla mnie — powiedział Terlecky — sprawa jest oczywista. Jego tam wcale nie ma.

— A ja myślę, że jest, tylko... tylko...

— Nie mów lepiej, Pele, na samą myśl skóra cierpie.

Pele zatrzymał się, cofnął kilka kroków i wzięwszy krótki rozpęd przeskoczył rów. Terlecky poszedł w jego ślady. Zrównali się i maszerowali teraz prosto ku topolom. Widzieli już wyraźnie kształt aparatu leżącego pod drzewami, litery rozpoznawcze i otwartą klapę głównego wjazdu z wysuniętymi schodkami.

— Co się właściwie stało — zapytał Terlecky — że nie wylądowali w bazie?

— Zabrakło paliwa. W ogóle mieli różne kłopoty w drodze.

— To nawet trudno się dziwić, że ona trochę „nie tego”. No nie? — Pele nie odpowiedział i Terlecky powtórzył głośniejszym głosem — No nie? — ale wtedy i on coś zobaczył.

Bezwiednie zwolnili kroku. O pięćdziesiąt metrów przed nimi w wysokiej trawie zjawiała się kobieta. Musiała dotąd leżeć płasko, ale teraz usłyszawszy głosy, usiadła i zobaczyła ich jak się zbliżali. Widzieli jak przysłoniła dłonią oczy, zerwała się, a potem szybko zebrała kilka przedmiotów i niosąc pod pachą jednej ręki barwną torbę, a w drugiej butelkę z zielonego szkła, wbiegła po schodkach i nie oglądając się znikła wewnątrz kadłuba statku.

— Opalała się — szepnął Terlecky.

— Chodź! — rozkazał Pele. — Teraz już nic nie wymyślimy. I nic już nie mów, bo może usłyszeć.

— Pele? a kto będzie z nią rozmawiał?

— Błagam cię, stary, nic się nie odzywaj, zamknij się na cztery spusty i nic nie gadaj, rozumiesz? Ani słowa!

Krocząc bardzo wolno minęli miejsce, gdzie trawa była mocno wygnieciona. Nic tu już nie leżało, zbliżyli się do schodków. Pele położył stopę na pierwszym. Było już za późno, aby się wycofać. Teraz za żadną cenę nie odwróciłby się plecami do statku. Z uczuciem śmiertelnego chłodu w piersiach wstąpił o schodek wyżej. Szybkim spojrzeniem upewnił się, że Terlecky idzie za nim i chciał już ruszyć dalej, kiedy w ciemnym otworze pojawiła się kobieta.

Miała na sobie obcisły kombinezon, długie włosy opadały jej na ramiona. Wielkimi, lekko skośnymi oczami patrzyła na mężczyznę przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Terlecky stał jak wryty zahipnotyzowany zjawiskiem. Nim upłynęło kilka sekund zdołał pomyśleć: „Dobra nasza!” Złowił jej uważne spojrzenie i odzyskał pewność siebie. Wykrzywił twarz w wypróbowanym i zabójczym uśmiechu. Ale wtedy kobieta odwróciła spojrzenie.

— Och! — zawołała. — Przecież to Pele! Naprawdę!

— Przyszedłem — wyjąkał Pele.

— Cieszę się ogromnie, staruszkule! — mówiła głosem przepełnionym nieklamana radością.

— No wiesz — bąkał Pele — poznajesz mnie?

— Co ty pleciesz, Pele! — obruszyła się. — Dwa lata to znów nie tak dużo...

— Tak, tak — jąkał się, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, aby to wypadło naturalnie. — Ja też się cieszę i my wszyscy...

— I przyprowadziłeś kogoś z sobą! — zdawało się, że jej zachwyty nie ma granic, lecz spojrzenie, które pobiegło ku Terlecky'emu, było zupełnie chłodne.

— To jest — powiedział szybko Pele — nasz nowy inspektor, teraz jest na urlopie i tylko tak...

— Jesteście strasznie dobrzy — przerwała. — A nasz stary Mef? A poczciwy Tot? Jestem pewna, że zjawiliby się, gdyby mogli!

Pele poczuł, że się czerwieni, a potem przyszło mu do głowy, że ona może wie o tamtych, ukrytych za krzakami i ścierpła mu skóra na plecach.

— Kochane stare chłopaki — mówiła z rozczeniem. Kilka razy prześliznęła się wzro-

kiem po twarzy Terlecky'ego, ale było to spojrzenie, po którym odechciało mu się wszelkich uśmiechów. „Bodajby — pomyślał ze złością — nie wyłaził z tych krzaków!”

— Och, Pele! — powiedziała przyciskając dłonie do piersi. — Tak mi strasznie przykro...

— Ale cóż znowu! — zawołał Pele.

— Tak, tak, czuję się okropnie! — patrzyła na niego przepaszająco. — Tyle kłopotu wam narobiłam z tym lądowaniem!

— Przestań! — poprosił Pele. — Doprawdy nie ma o czym... Najważniejsze, że...

— Taki jesteś miły — przerwała. — I nic a nic się nie gniewasz?

— Nic a nic — zapewnił wchodząc o stopień wyżej.

— A co mówią o tym w bazie?

— W bazie? — powtórzył jakby z zastanowieniem i posunął się znów do góry.

— No tak, personel, dyrekcja i w ogóle.

— Nic. Cieszą się, czekają... — Stał teraz na małej platformce przed wejściem i ponad jej głową próbował zajrzeć do środka. Nic nie mógł dostrzec w panującym tam mroku.

— Wiesz co? — powiedział — Trochę bolą nas nogi, szliśmy kawał piechotą i teraz chętnie bym usiadł, on także, prawda stary? — obejrzał się na Terlecky'ego.

— Jeszcze jak! Zupełnie nie czuję nóg...

Kobieta stała bez ruchu zagradzając przejście.

— Moglibyśmy wygodniej pogadać — zachęcał ją Pele.

Stała nadal nieporuszenie i Pele poczuł jak kropelki potu zbierają mu się na skroniach.

— Z pewnością — mówił — chciałabyś coś usłyszeć i my... Tyle się zebrało... — mówił drewnianym głosem. — Każdy dzień...

— Ależ wejdźcie! — zawołała — Trzymam was tutaj, naprawdę, jestem okropna! — Cofnęła się i znikła w półmroku.

Ruszyli za nią, czując jak koszule lepią się do pleców. Minęli krótki korytarzyk i weszli do półokrągłej, oświetlonej kabiny.

— Siadajcie! — poprosiła. — Jakie to dziwne uczucie widzieć tu kogoś nowego!

Na wąskim stole, biegnącym wzdłuż ściany, stała kolorowa torba, a zza niej wystawała szyjka butelki.

— To ja mam być kimś nowym? — spróbował zażartować Pele.

— Paskudny jesteś! — zawołała. — Wiesz przecież, że nie o to chodzi. Przywykliśmy już z Harikiem do naszej samotności.

— Jestem pewien, że nie nudziliście się?

— Skąd! tyle pracy i Harik tak cudownie opowiada!

— Bardzo... — zaczął — Bardzo...

— Z Harikiem nikt nie potrafi się nudzić — mówiła. — Nikt!

— Bardzo bym chciał — zdobył się na odwagę — pogadać z Harikiem... Razem, razem kończyliśmy budę — mówił coraz szybciej — pamiętam jak grywaliśmy w „szczura do klatki”, on był zawsze lepszy ode mnie, w ogóle taki pierwszorzędny kolega, nigdy...

— Pele urwał. Próbował przełknąć ślinę, ale usta miał zupełnie suche.

— Mamy już październik — powiedziała zwracając ku niemu promiennie uśmiechniętą twarz — a ciepło jest jak w środku lata!

— T... tak — wyjąkał.

— Lato — odezwał się Terlecky — lato mieliśmy marne.

— Deszcze? — w jej głosie było prawdziwe i głębokie zainteresowanie.

— Deszcze i nie deszcze — powiedział znacząco, ale już nie patrzyła na niego.

— Pele — odezwała się tonem innym niż dotychczas — mieliśmy poważne uszkodzenie.

— Wiem — powiedział ochryple. — Wiem!

— Tym razem niewiele brakowało...

— Silnik?

— Tak i inne rzeczy, coś ze sterowaniem...

— Czy mógłbym — spytał Pele mrużąc oczy — spojrzeć na przyrządy?

Nie zawahała się ani na mgnienie oka.

— Nie potrzebujesz pytać, Pele, jesteś tu jak u siebie!

Skinał głową.

— Ja się tak mało na tym znam — mówiła. — Nie mam pojęcia o mechanizmach...

Pele podniósł się powoli. Oparł dłoń na ramieniu Terlecky'ego.

— Zatrzymaj ją tutaj — szepnął, zaledwie poruszając wargami.

— Mhm — mruknął Terlecky i pomyślał „Dziękuję!”

— Zaprowadzić cię, Pele? — zapytała jak troskliwa gospodyni.

— O nie, nie! — odezwał się pospiesznie, dając znak ruchem ręki aby usiadła. — Jakby nie było, cha, cha — próbował się zaśmiać — znam trochę te stare pudła...

— Oczywiście, że znasz, Pele, taka jestem roztrzepana — usiadła z powrotem. Wydało mu się, że nikły uśmiech przemknął po jej twarzy.

Znalazł się w wąskim przejściu i głośno tupiąc ruszył w stronę sterowni. Z umyślnym hałasem otworzył zasuwę i wszedł do środka. Nawet nie spojrzął na tarcze zegarów i liczniki. Przysiadł na krawędzi pulpitu i przymknął oczy. „Cholernie to lubię! — pomyślał. — Diabli nadali!”. Z daleka słyszał głos Terlecky'ego:

— Zawsze było mi brak zieleni...

— Doprawdy? — dziwiła się. — Przecież to tak łatwo...

„Dosyć! — pomyślał Pele. — Bierz się bracie do roboty.” Wymknął się na palcach ze sterowni i bezszelestnie dotarł do drzwi, za którymi spodziewał się kabiny Harika.

— Wszyscy zabierają palmy — mówił Terlecky. — Okropne przyzwyczajenie.

— No tak — odpowiadała. — Chociaż niektóre...

Pele nacisnął klamkę i znalazł się w środku. „Tutaj” — poznał natychmiast. W kabinie panował idealny porządek. Pobieźna inspekcja nic nie wykazała. Pele zaczął otwierać jedną po drugiej szalki. Wszystko było tak, jak spodziewał się, że powinno być w kabinie Harika. „Miała tysiące sposobów — pomyślał — aby go schować”.

— To wszystko nic nie warte — mówił Terlecky. — Człowiek zapomina jak wygląda porządne drzewo.

— O, niekoniecznie — dobiegł jej głos.

— Nie ma to jak kawał pnia — Terlecky nie dał sobie przerwać — porządne konary, gruba kora, a potem coraz cieńsze gałązki i liście.

— A jednak... — upierała się.

— To co można wyhodować w doniczce — mówił — to kit. Nigdy nie jest podobne...

— Jak to od razu widać — zawołała — że nie znasz mojego ogródka!

„Dobrze to zrobił — pomyślał Pele z uznaniem. — Wydawało mi się, że wszystko popsuje, ale teraz świetnie z nią rozmawia.” Był już spokojniejszy i zaczął grzebać pośród papierów na biurku. Przeglądał pobieżnie notatki i szkice, ale po chwili zrozumiał, że to do niczego nie prowadzi. „Zajrzę jeszcze pod tapczan” — postanowił. Ukląkł i głowę położył na podłodze.

— O, Pele — usłyszał jej zdziwiony głos. — Znalazłeś uszkodzenie?

Drgnął i odwrócił się gwałtownie. Stała o krok za nim patrząc ze szczerym zaciekawieniem. W obu szeroko rozstawionych dłoniach trzymała długi przedmiot, który od spodu wydał mu się jakimś naczyniem. Nie miał pojęcia co w nim jest, pomyślał tylko, że waży co najmniej piętnaście kilo. Widać było, iż podtrzymywała go z pewnym wysiłkiem.

— Nic! — powiedział starając się mówić normalnie. — Nic nie znalazłem.

Tapczan nie pozwalał mu się cofnąć, nie mógł też wstać, bo wtedy uderzyłby głową w

owo naczynie. Trzymała je teraz wprost nad nim...

— Wiesz? — powiedział. — To musi być coś bardzo skomplikowanego...

— Wiem, Pele — odparła, przyglądając mu się ze współczuciem i jakby odrobinę wyżej podniosła trzymany ciężar.

— Wkrótce będzie tu ekipa techniczna! — wyrzucił szybko.

— To świetnie — powiedziała. — Myślisz, że oni coś znajdą?

Pele czuł chłód rosnący w okolicach serca.

— Jasne! — zapewnił słabym głosem. — To świetni fachowcy, wszystko wykryją natychmiast, wszystko... — Piekący pot zbierał mu się wokół oczu.

— Tyle tu zakamarków — powiedziała.

Nagle uświadomił sobie, że już od dłuższej chwili nie słyszał Terlecky'ego, serce mu zamarło, a potem jęło łomotać jak oszalałe. „Przewrócę ją — myślał gorączkowo — i wybiegnę, chyba nie zamknęła wyjścia! Tego tylko brakuje...”

— Halo — rozległ się niespokojny głos Terlecky'ego. — No i cóż z tymi drzewami?

Odwrociła się szybko w stronę drzwi. Terlecky zaglądał do kabiny.

— Zapomniałaś?

Pele podniósł się ciężko i oparł o ścianę. Przez chwilę musiał opanowywać drzenie nóg.

— Skądże! — powiedziała — Już idę. Pele też będzie chciał zobaczyć.

Dotykając ścian dłońmi poszedł za nią. Czerwona mgiełka ustępowała przed oczu. Kiedy dotarli do pierwszej kabiny, usiadł ciężko i przez chwilę zaledwie słyszał o czym mówi tamci dwoje.

— Z czego to jest? — pytał Terlecky.

— No wiesz! — oburzyła się. — Coś podobnego! Nie chcesz popatrzeć z bliska?

Pochylił się nad długim naczyniem.

— Wyglądają — mruknął — zupełnie jak prawdziwe.

— Zupełnie! — parsknęła.

— Czy... czy mogą dotknąć?

— Cha, cha! — roześmiała się — dotknąć i powąchać! Co tylko zechcesz... Pele, widziałeś kiedy takiego niedowiarka?

— Mhm... — Zachodził w głowę jak się wydostać ze statku.

— Pele, obejrzyj mój las — prosiła. — Wątpię czy gdzieś istnieje równie piękny.

— Naturalnie. Naturalnie, że nie!

W owalnej misie wypełnionej ziemią rósł najprawdziwszy las. Pele rozpoznał gęste korony buków i dęby o poskręcanych i sękatych konarach, a także kępę smukłych, czarnych sosen i obok nich grupę sosen o czerwonym pniu. Kiedy pochylił się nieco, czuł zapach żywności i igliwia. Widział ziemię zasłaną szpilkami i szyszkami. Pod dębami leżały kulki żołądzi. Zaledwie dostrzegł je gołym okiem, drzewa miały piętnaście centymetrów wysokości.

— Nie! — powiedział Terlecky prostując grzbiet.

— Co nie? — odparła zaczepnie.

— To niemożliwe — potrząsnął głową. — Takich rzeczy nie ma. To jakaś sztuczka.

— No, wiesz? — oburzyła się. — Pele, wytłumacz mu co to są japońskie ogródki!

— Japońskie ogródki... och — spojrzał na nią niepewnie — przecież ty... ty...

— No, widzisz, Pele, jakie to proste, a on nic nie rozumie!

— Wiesz — powiedział Pele do Terlecky'ego — ona jest... to znaczy jej...

— Okropnie kręcisz, Pele, powiedz wprost, że jestem Japonką!

— Zdawało mi się — wtrącił Terlecky — że już to spostrzegłem...

— Zdumiewające! — jej oczy stały się jeszcze bardziej skośne niż dotąd. — Ale to niczego nie wyjaśnia. Nie wystarcza się urodzić na Wyspach, ażeby wyhodować t a k i las.

— Ja myślę! — rzucił Pele.

— To stara wiedza, sztuka, który przechodził u nas z ojca na syna.

— A córki? — zapytał dowcipnie Terlecky i zamilkł czując pod stołem kopnięcie Pelego.

— Mnie nauczył dziadek, który był mistrzem — powiedziała jakby nie słysząc uwagi, ale spojrzenie jakim zmierzyła Terlecky'ego, napełniło go lodowatym chłodem. „Cholera! — pomyślał. — Zaczynam chlapać.” Poczul złość do Pelego, ale przypomniał sobie, że sam chciał tu przyjść.

— Bardzo długo się tego uczyłam — mówiła. — Dzisiaj mam już własne metody i potrafię rzeczy, o jakich nie śniło się dziadkowi! — powiedziała z dziwnym błyskiem w spojrzeniu utkwionym w twarzy Terlecky'ego. Przeształ z nogi na nogę. Pele próbował ratować sytuację.

— To straszliwie zdolna dziewczyna — powiedział. — Ma wspaniałe prace!

— Taak? — zaśmiała się. — Cóż ty możesz o tym powiedzieć?

— No... — zająknął się. — Jak to... Każdy kto choć trochę...

— Przestań! — przerwała. — Nie masz żadnego pojęcia o tych rzeczach.

— A jednak trochę mam! — upierał się.

— Doprawdy?

— Może powiesz, że nie przywiozłaś tym razem czegoś nowego?

— Nie! — potrząsnęła energicznie głową rozsypując włosy. — Nie! To wszystko jest niczym w porównaniu z tym co przywiózł Harik. Niczym! Przekonacie się.

— A może zaprzeczysz — ciągnął bezmyślnie Pele — że przez ostatnie dni w ogóle nie wstawiałaś od mikroskopu, co?

— Przez... ostatnie... dni? — powtórzyła.

— A widzisz! — zawołał triumfalnie. — Dobre dwa tygodnie, nic tylko preparaty, szkiełka, barwniki...

— Skąd to wiesz? — jej oczy stały się wąskie jak dwie szparki.

Pele poczuł żelazny uścisk palców Terlecky'ego, ale nie było to potrzebne, bo sam zrozumiał i krew uciekła mu z serca.

— Skąd to wiesz, Pele? — powtórzyła — Powiesz mi, prawda?

Siedział jak sparaliżowany, mając pustkę w mózgu i mrówki zbierające się w okolicach krzyża. Ciężka cisza wisiała w kabinie.

— Och, Pele — mówiła znowu — przecież nie będziesz ukrywał przede mną... Podśluchiwałeś, prawda?

Bez własnej wiedzy i woli skinął głową i wyjąkał ledwo słyszalne — T... tak.

Stała pod ścianą kabiny sztywno wyprostowana, z powiekami niemal zamkniętymi, z zaciśniętymi pobielalymi wargami. Pele widział też śmiertelną bladość twarzy Terlecky'ego i drżenie jego dłoni. W pustej czaszce zaczęły przebiegać sygnały alarmu: „Uciekaj, idioto! Jak najdalej stąd! Powiedz coś! Wytłumacz!”

— Widzisz — zaczął — to tylko przypadkiem i...

— Dwa tygodnie — syknęła przez ściśnięte zęby.

— Chyba mniej, mniej na pewno!

— Nie wstawiałam od mikroskopu...

— N... nie wiem tego...

— Tak powiedziałaś — widział jak jej opuszczone dłonie zaciskają się w pięści.

— Ja... ja ci wszystko wytłumaczę, posłuchaj, naprawdę nic takiego...

— Nic nie chcę słyszeć — powiedziała twardo. — Nic! Podśluchiwałeś mnie...

Terlecky bardzo wolno przesunął się w stronę wyjścia z kabiny. „Coś muszę powiedzieć — rozpaczliwie zastanawiał się Pele — w co mogłaby uwierzyć?”

— Więc tak! — oznajmił pewnym głosem. — Chciałem dowiedzieć się czegoś o pracach Harika. Tak! Nie wstydzę się tego, tu wszyscy czekali, wszyscy, prawda, stary?

Terlecky zdołał tylko skłonić głowę, zdawało mu się, że gardło ma ściśnięte stalową

obręczą.

— Oczywiście — powiedziała i uśmiechnęła się promiennie. — Oczywiście, że chodziło ci o Harika, naprawdę rozumiem cię, Pele, och, byłam niemądra, nie gniewasz się, prawda? Jestem pewna, że nie...

Terlecky przestał się posuwać w stronę drzwi. Pele czuł się jak po wyjściu z gorącej kąpieli.

— Już dawno — mówiła — powinnam opowiedzieć wam o Hariku zamiast pleść głupstwa, po to przyszliście, prawda? Plotę i plotę, a wy pewnie siedzicie jak na szpilkach i nic się nie możecie dowiedzieć...

— Już jest dość późno — powiedział Terlecky.

— Właśnie — dodał Pele — późno i powinniśmy...

— Nie zrobicie mi tego! — zawołała ze zmartwioną miną. — Teraz to już po prostu muszę wam opowiedzieć o Hariku. Zostajecie! Pele, mój drogi, poproś kolegę, nigdy bym sobie nie darowała, gdybyście teraz odeszli, nigdy!

Pele rozłożył ręce.

— Załatwione! — ucieszyła się. — Jesteście mili chłopcy! Mam — szepnęła tajemniczo — mam dla was niespodziankę: dostaniecie coś pysznego do zjedzenia, coś a b s o l u t n i e rewelacyjnego, zaczekajcie minutkę! — zakreśliła się na pięcie i wybiegła. Gdzieś w głębi statku rozległ się brzęk naczyń.

— Pryskamy? — spytał cicho Terlecky.

— Usłyszysz...

— Zdejmujemy buty, zresztą wszystko jedno.

— Nie, brachu — Pele pokręcił głową. — Teraz już nie warto.

— Chyba nie — zgodził się Terlecky. — Myślisz, że już nic nie grozi?

— Zdaje mi się, że uderzyłem we właściwą strunę. Tylko o Hariku... Dobrze było zrobione, co stary?

— Cholera — odparł Terlecky. — Ręce mi się trzęsą jak galareta.

— Myślałem, że ją szlag trafi jak usłyszała o podsłuchu!

— Słowo daję — mówił Terlecky — że rzucam tę wściekłą robotę. — Pięścią uderzył się w głowę. — Diabli nadali! Po co się człowiek pcha...

— Załatwiłem ją pięknie — szeptał Pele. — Zobaczysz, że teraz wszystko powie, a przy okazji coś wetniemy.

— Czy — zapytał lekko Terlecky — jesteś pewien, że nam to nie zaszkodzi?

— Daj spokój, stary...

— Bardzo łatwo mogłaby coś dosypać, aż się prosi o coś takiego...

— Ale po co? — zapytał Pele. — Po co? Ona musi się teraz wygadać za te dwa lata i ani jej w głowie... Nie, nic się nie odzywaj, stary... naprawdę, bardzo cię proszę, nic nie poradzę na to, że nie masz racji.

— Może będę udawał, że mnie boli brzuch?

— Ani się waż! — powiedział ostro Pele. — Musi ci smakować!

Usłyszeli jej ostrożne kroki, a potem weszła do kabiny niosąc dwa dymiące talerze, które ustawiła przed nimi z tajemniczą miną. Na każdym leżała kopiasta porcja białych ziaren polanych gęstym sosem wydzielającym ostry zapach. Pele wyciągnął szyję i robiąc łakomy wyraz twarzy, głośno przełknął ślinę.

— To będzie coś pysznego! — powiedział.

— Ryż? — spytał Terlecky.

— To jasne! — radował się Pele. — Czy mogłaby nam dać coś innego? Nikt tak nie przyrządza ryżu, nikt...

— Jesteś bardzo uprzejmy, Pele — odezwała się — ale jeszcze nie spróbowałeś. Jest siedemset sposobów przyrządzania ryżu. Od mojej prababki nauczyłam się dwustu, ale ten

jest mój własny... Ou! — przerwała — znowu zaczynam pleść, teraz już tylko o Hariku!

— Pyszności! — oznajmił Pele z pełnymi ustami — Mmm. — Spojrzał ostro na Terlecky'ego, który ociągał się z jedzeniem.

— Harik rozwiązał problem podróży pozagalaktycznej dla całej ludzkości.

— Nieee — powiedział Pele. Policzki miał wypchane ryżem i ziarna wysypywały mu się spomiędzy warg. — Nieee — powtórzył. Wyprostował się jakby zmieniony w słup soli. Oczy zaokrągliły mu się jak dwa talary.

— On to zrobił! — potwierdziła.

Terlecky, skoro już raz zdecydował się wziąć poczęstunek do ust, jadł coraz szybciej, łykał pospiesznie, jakby chcąc pozbyć się widoku potrawy na talerzu.

— Harik rozwiązał to raz na zawsze i nieodwołalnie.

Pele przełknął to co miał w ustach. W niemym podziwiew kręcił głową. Zdawała się tego nie zauważać.

— Podszedł do tego zupełnie inaczej niż wszyscy... Jedz! — poprosiła. — Jedz, zanim ostygnie.

Z talerza podnosił się ciepły opar mocnych, nieznanych przypraw. Terlecky już zbliżał się do końca. Zaczęło mu się odbijać i to trochę opóźniało wyczyszczenie talerza.

— Żadne statki, żadne rakiety. To, co nas trzyma, to grawitacja. Trzeba się pozbyć Słońca!

Terlecky zakrztusił się. Próbował się grzmotnąć pięścią w kark.

— Słońca? — powtórzył Pele.

— Harik wymyślił sposób. W miarę jak Słońce będzie malało... Jedz, Pele, bo pomyślę, że ci nie smakuje... Ziemia zacznie się od niego oddalać coraz większą spiralą, aż wreszcie...

— Fiuu — odezwał się Terlecky. Zjadł już prawie wszystko i poczuł się doskonale.

— Ale co ze Słońcem? — dopytywał się niespokojnie Pele.

— Harik spowoduje wybuch, skieruje go fontanną w jedną stronę, on to nazywa fontanną.

— Ba — rzekł Pele — duża rzecz! Taki ogień bengalski.

— I to wszystko miało przepaść! — powiedziała.

— Jak to? — zdziwił się Pele. — Jak to przepaść?

— Mieliśmy przecież uszkodzenie i podczas lądowania...

— Racja. Wszystko przepaść — powtórzył z melancholią.

— Teraz zrozumiesz mnie, Pele, ja musiałam to zrobić; na pewno powiesz, że tak, co Pele?

— Fiu! — odezwał się Terlecky. Zmierzyła go ukośnym zimnym spojrzeniem. Z niewinną miną wybierał resztki ryżu.

— Ja przecież nie wyglądam na złą żonę — spytała — jak myślisz Pele?

— No wiesz? — zdumiał się. — Ja... ja...

— I widzisz, musiałam to zrobić. On wcale o tym nie myślał, ale ja tak. Sporządziłam kopie, wszystkie jego obliczenia, rysunki, aby w ostatniej chwili zanim statek...

— Grzmotnie o Ziemię! — wyręczył ją Terlecky.

— Wyrzucić na zewnątrz — dokończyła.

— Hm — mruknął Pele.

— Ja wiem, Pele, co myślisz, to nie był najlepszy sposób, mogliśmy przecież znaleźć się nad morzem i wtedy...

— Bul... bul — podpowiedział Terlecky.

Pele gwałtownie zakrył ręką pełne usta, aby nie parsknąć ryżem. Było mu lekko na duszy.

— Przypomniałam sobie — mówiła jakby nigdy nic — dawnych żeglarzy. Pamiętasz, Pele, oni wyrzucali do morza butelki, które ktoś wylawiał...

— Co za dziewczyna! — powiedział Pele. — Powiedz sam, stary...

Terlecky podniósł wysoko rękę i palce złożył jakby do przysięgi. Plecami oparł się o ścianę, gdzie tkwił szereg przycisków, coś cicho trzasnęło. Pod sufitem zaszumiał i zatrzeszczał wielki głośnik. Kabinę wypełnił męski, donośny, pełen tragicznego napięcia, wrzask:

— NIE JEDZCIE TEGO!!! LUDZIE! ONA WAS...

Jednym skokiem rzuciła się ku ścianie i wyłączyła radio. W dzwoniącej ciszy stuknął rozgłosnie talerz Pelego upadając na podłogę. Terlecky zatoczył się i palcami objął gardło. Stała naprzeciw nich patrząc zmrużonymi oczyma, które nigdy jeszcze nie wydały im się tak skośne. „Ludzie... — powtarzał w myśli Pele. — Ludzie, nie...” Wzrokiem błędził po kabinie. Białe jak kreda oblicze Terlecky'ego, talerz na podłodze, jej kolorowa torba, a obok zielona butelka, zielona... Patrzył w nią jak zahipnotyzowany, a kiedy włosy jeły mu stawać dęba na głowie, porwał się i jak szaleniiec rzucił ku wyjściu, tłumiąc złowrogi bulgot podchodzący do gardła...

Stoczyli się ze schodków i pobiegli przez łąkę potykając się i przewracając. Za żadną cenę nie odwróciliby głowy. Terlecky wyprzedzał o pierś Pelego.

— Pele — dyszał. Co ona nam zrobiła, powiedz, otruła nas?

— Gorzej, stary — wyjęczał Pele. — Biegnij z całej siły, musimy dobiec do Mefa zanim...

— Pele, ty coś tam widziałeś, powiedz!

— Chłopie — dyszał Pele. — Chłopie...

— Pele — wychrapał Terlecky — chcesz mi wmówić, że on... że Harik tam...

— Taki... — łkał Pele. — Taki jak palec i nadajnik jak główka zapałki...

Terlecky'emu zęby dzwoniły jak w febrze. Dobiegli tam gdzie przedtem był rów, ale teraz nie dało się go przeskoczyć, miał szerokość rzeczki. Przebrnęli go po biodra w wodzie. Nogi zaczęły im się plątać w ogromnych nogawkach, spadły im buty. Niemal w biegu rzucili wszystko co krępowało i omotywało ruchy. Byli już bardzo zmęczeni. Trawa jakoś stwardniała, sięgała im do pasa. Zbliżali się do muru zieleni, za którym był skryty poduszkiwiec. Terlecky spojrzął przed siebie i głosem przerywanym przez rżący oddech powiedział:

— Pele, zabłądziliśmy chyba, jakieś wzgórze przed nami, widzisz stada na stokach?

Pele zwolnił kroku, ręką przyciskał walące serce, wyteżał wzrok.

— Nie, stary — powiedział — to nie owce, pamiętasz tamto mrowisko?

## Nasi ludzie w kosmosie

Gus przyłożył do ściany wielki kolorowy arkusz. „Powinien być widoczny z każdego miejsca kabiny” — pomyślał. Przesuwał go w lewo i prawo, odchylając przy tym głowę i wysuwając język spomiędzy zębów.

— Co tam masz, Gus? — zapytał Alecho. — Z daleka wygląda na coś ładnego...

— Fotografia — odparł Gus. — Uczestnicy i instruktorzy mojego kursu w Szkole Kosmo-Nawigacji.

— Jesteś między nimi?

— Tu! — pokazał palcem Gus. — Obok szefa Szkoły, pięć minut po otrzymaniu medalu i dyplomu.

— Wiem! — powiedział Alecho. — Byłeś najlepszy, ale nigdy nie opowiadałeś mi o szkole.

Gus puścił fotografię przytkniętą do ściany, odepchnął się lekko dłonią i odpłynął na wznak, ku środkowi kabiny.

— Pożegnanie było bardzo uroczyste — powiedział. — Ale to już stara historia, a teraz



jestemy tylko we dwóch i dawno straciliśmy Ziemię z oczu.

— To nic nie szkodzi — upierał się Alecho. — Bardzo lubię o tym rozmawiać, powinienś czasem robić mi jakąś przyjemność...

Gus przymknął oczy.

— Zawsze będą pamiętał dzień pożegnania i przysięgę...

— PRZYSIĘGAM ZAWSZE I WSZĘDZIE... — zaczął uroczyście Alecho.

— Po co to mówisz? — przerwał Gus. — Ty nie przysięgałeś.

— Nic nie szkodzi, te słowa mnie wzruszają.

— Wiesz w ogóle co to jest wzruszenie?

— Może nie tak dokładnie jak ty, ale trochę... **CHOĆBY W NAJDALSZYCH RUBIEŻACH PRZESTRZENI...** — ciągnął z zachwytem.

— Nie możesz wiedzieć, Alecho, nie przeżywałeś takiej chwili. — Gus się rozgadał. — Jestem dorosłym mężczyzną, a przecież miałem łzy w oczach i czułem bolesne, ale i słodkie zarazem ściskanie w gardle.

— Jak ładnie to powiedziałeś, Gus — szepnął Alecho.

— Dopiero wtedy zrozumiałem sens przysięgi... **NIEZACHWIANIE DZIERŻYĆ HONOR ZIEMIANINA.** Widzisz, oni wszyscy...

— Kto, Gus?

— Koledzy, instruktorzy, Szef, wszyscy w ogóle, ktokolwiek jest na Ziemi, okazali nam wielkie zaufanie. Sądzę, że nie ma takiej chwili, kiedy ktoś na Ziemi nie pomyślałby chociaż przelotnie o nas.

— To straszne, Gus, ale i przyjemne, tak sobie wyobrazić.

— To przede wszystkim powinno nas po stokroć bardziej zobowiązać. A przecież zapomniałszy o tych dziesiątkach załóg, które pracują poza Ziemią, na sztucznych planetoidach, w rakietach, na księżycach...

— Oni też myślą o nas?

— Z pewnością, Alecho. Są zawiadomieni o naszym wyruszeniu i jestem przekonany, że zastanawiają się, jacy też są ci nowi, co wchodzi właśnie do wielkiej Rodziny.

— Myślisz, że ich poznamy, Gus?

— Niektórych tak, ale większości nie. Wielu urodziło się już w Przestrzeni, tkwią od dziesiątek lat w tak odległych okolicach...

— I co? Mów jeszcze — prosił Alecho. — O tym samym.

— Są prawdziwymi bohaterami! — mówił Gus z coraz większym uniesieniem. — Dokonują wspaniałych czynów, narażając życie dla Wiedzy, dla Postępu, to najlepsi synowie...

— A my, Gus? — odważył się zapytać Alecho. — Co my?

— Niewiele! — zawołał Gus. — Tyle co nic. Na razie...!

— Jesteś bardzo ambitny.

— Jestem! — powiedział Gus. — Jestem, to prawda i muszę dokonać czynów, które wszystko przyćmią...

— Wspaniale, Gus! Myślisz, że ja bym też coś mógł?

— Będziesz ze mną, Alecho.

— Och! Zawsze marzyłem, aby odkryć na jakiejś planecie nieznanne stworzenia, a potem je ucywilizować!

— Wątpię czy coś takiego się zdarzy, nie możemy czekać na przypadek.

— Najważniejsze, żeby wykonać swoje zadanie, prawda?

— Tak.

— I nie poddać się działaniu Przestrzeni, prawda?

— Wytrzymamy wszystko, Alecho, moja w tym głowa.

Gus obudził się słysząc koło siebie uparty szept.

— Czego chcesz? — wymamrotał sennie. — Nie dajesz mi nawet chwili spokoju...

— Zbudź się, Gus, bardzo cię proszę — mówił Alecho — i przyjdź do nawigacyjnej, to naprawdę może być ważne.

— Co się stało? — Gus niechętnie otworzył oczy. — Nie dasz sobie rady? — zapytał, ale na odpowiedź już nie czekał, bo fala senności odpłynęła i poczuł się znów w całej pełni komendantem statku, dla którego nie istnieje nic ponad obowiązek, wykonywany co prawda w samotności, z dala od czyichkolwiek oczu, ale jakież zaszczytny i jakież honory obiecujący w dalekiej, dalekiej jeszcze przyszłości! Zmarszczył brwi i mocnym głosem powiedział: — Zaraz tam będę!

— Jakiś obiekt — mówił Alecho — zbliża się z wielką szybkością i przetnie nasz kurs...

— Zderzymy się? — przerwał Gus.

— Nie, przejdzie w pobliżu.

— Słuchaj, Alecho — mówił Gus, wyplątując się z siatki, która otaczała go w czasie snu chroniąc przed obijaniem się o ściany kabiny — jeśli masz zamiar budzić mnie z powodu każdego meteorytu...

— To nie meteoryt, tam jest coś żywego.

Gus obu stopami odepchnął się od ściany, ręce wyciągnął nad głową jak skoczek do wody i miękko wpłynął do owalnego otworu, który wiódł do nawigacyjnej.

— Teraz go widzę — mówił do siebie tkwiąc już głową w hełmie wizora — słabo, ale widzę. Jakie ma rozmiary?

— Około dwa metry długości — odrzekł Alecho. — Ma lśniąca srebrzystą powierzchnię i leci szybciej od nas.

— Zauważyłem — mruknął Gus — przesuwają się na tle gwiazd, zaraz nas wyprzedzi... Alecho! Zwiększyć szybkość, zmiana kursu... Aha, włącz zaraz radio...

— Zrobione! Bierzemy go na pokład?

Gus nie zdążył odpowiedzieć. Z głośnika obok trzasków i szumów rozległ się ochryply nieco, niski głos nucący:

— Pam pam pa ram pam pam... ti ra...

— W porządku — powiedział Gus. — A teraz, Alecho, przestań się wygłupiać.

— Ależ! — zawołał Alecho — To przecież t o tak śpiewa!

— Ta ri ra ri ra ra ... — głos coraz wyraźniejszy zalewał kabinę fałszywym śpiewem. — Ra ri...

— Tak twierdzisz? — powiedział Gus. — Tym lepiej! — mówił do siebie, a w sercu czuł już leciutkie ściskanie i pierwszy dreszczyk cudownej emocji na plecach. — Włączaj reflektor! — rozkazał. — Daj pełną siłą!

Snop białego blasku przeciął mroki i ogarnął srebrzysty przedmiot mknący w przestrzeni rozjarzając go oślepiającym lśnieniem, zaś tajemnicze „Ta ri ra ra” w głośniku radiowym urwało się jak nożem uciał. Lecz pośród szmerów usłyszał teraz Gus coś jakby ciężki oddech, a po chwili donośne i gniewne:

— Co za diabli? Hej tam! Tylko nie w oczy! Wyłączyć tę latarnię!

— Wybacz! — szepnął Gus pospiesznie, a w sercu miał samą radość i uniesienie. „Wy-padł — myślał — z jakiegoś statku i był już zgubiony i właśnie ja go uratuję. To będzie ktoś wielki i sławny i ja... — myśli pędziły jak szalone — ja... i o mnie... usłyszą o mnie wcześniej niż się spodziewali.

— Stop silniki! — wołał, chociaż Alecho tkwił tuż obok. — Podchodzimy czerwoną burtą! Otworzyć klapy! Wyrzucić siatkę!

Był już z nimi w kabinie, zdjęli mu z głowy hełm odsłaniając zmierzwiłone, przetykane siwizną włosy i oblicze poryte wprawdzie głębokimi bruzdami zmarszczek, lecz czerstwe, opalone i zdrowe. Kilkoma ruchami pomogli mu się wydobyć ze skafandra, który porzucony

jął się przesuwać po przekątnej kabiny, podczas kiedy oni trzej, dwaj z załogi i przybysz mierzyli się wzrokiem bez słowa. Obcy utkwiał w nich bystre i świdrujące spojrzenie oczu skrytych pod gęstymi brwiami.

— Halo — powiedział na koniec.

— Halo — odparł z ulgą Gus.

— Dzień dobry! — zatrajkotał Alecho. — Bardzo się cieszymy!

Przybysz obejrzał go uważnie od stóp do głów i wzruszył ramionami. Znowu zapadła cisza, która ciążyła Gusowi. Lecz jego głowa tak pełna była myśli, zaś piersi rozsadzała mu taka burza uczuć, iż nie wiedział od jakich słów zacząć. Za to przybysz nie wyglądał na podnieconego, Gusowi wydało się nawet, iż dostrzega na jego twarzy grymas znudzenia.” O Boże — powtarzał w duchu — jeszcze nie spotkałem nigdy takiego wspaniałego, starego wygi, on przecież ma wszystko w nosie!”

— Hm — odezwał się przybysz — nie jesteście bardzo rozmowni. — A potem dodał jakby z lekkim wyrzutem: — Moglibyście mnie poczęstować przynajmniej odrobiną dobrego, starego, mocnego koniaku...

Gus słuchał nie rozumiejąc, wreszcie powtórzył:

— Konia — ku? Nie — potrząsnął głową — nie wiem co to jest, ale mamy maxiton... Alecho, podaj tubkę i... — urwał widząc jak ponurym spojrzeniem zmierzył go przybysz.

— Nie wiesz? — powiedział przybysz unosząc brwi.

— Dziwne, może cokolwiek z alkoholu? — podjął z nadzieją.

— Ja — tłumaczył się Gus — ja naprawdę nie wiem co to jest, może to ma jeszcze inną nazwę? Bo na Ziemi...

— Stara Ziemia! — przerwał mu gruby głos obcego. — Stara Ziemia!

— Alkohol — odezwał się donośnie Alecho — węglowodorowy związek o rozlicznych zastosowaniach w przemyśle chemicznym. Jeszcze dwieście lat temu używany powszechnie do picia jako środek sztucznie oszałamiający i chwilowo poprawiający samopoczucie.

— Dobrze mówisz, synku — powiedział przybysz. — Właśnie to.

— Wiem — odezwał się Gus — ja też już wiem o co chodzi. Ale — zawahał się — naprawdę chciałeś się tego napić?

— Cha, cha! — zaśmiał się ochryple przybysz — przecież nie wylać za kołnierz!

— Ależ... — mówił Gus — to trucizna, naprawdę i... ja nie słyszałem, żeby ktoś...

— Stara Ziemia sporządzała! — zagrzmiął obcy. — Cha, cha, nie słyszałeś? Nie szkodzi, mój drogi, dowiedz się, że wiele rzeczy zapomnianych na Ziemi, tutaj wraca do życia. Tak, tak, wcale się nie staramy was informować, a wy o nas wiecie cha, cha! tyle co nic!

Gus milczał oszołomiony.

— Ale teraz — obcy spoważniał — sam znalazłeś się między nami i musisz dowiedzieć się wielu rzeczy. Teraz jesteś jednym z nas.

Gus poczuł falę wdzięczności przyptywającą mu do serca. „Jednym z nas” — zaśpiewał w duchu.

— A ty? — zapytał ośmielony — jak dawno jesteś w Przestrzeni?

— Ho ho! Pięćdziesiąt pięć, mój chłopcze! Nic dodać, nic ująć!

— Bo ja — mówił Gus, którego wymowa zerwała wszelkie tamy — bo ja właśnie skończyłem szkołę, miałem nawet pierwszą lokatę na naszym kursie — trzepał niedbale — medal i wyróżnienie. Dostałem potem to zadanie, nic wielkiego zresztą, wiem to świetnie, chociaż wszyscy mówili inaczej, oczywiście starali się zrobić mi przyjemność. Mamy — mówił skromnie — mamy dokonać pewnych badań w atmosferze Deneb, wiesz oczywiście, tam powstają rzadkie związki wskutek obecności powolnych cząstek Lameta i chodzi o to, żeby...

— Dobra! — rzekł przybysz i Gus umilkł stropiony. — Więc nie macie nic do picia, trudno, a co do Deneb, niech i tak będzie — machnął ręką. — Trochę tu ciasno u was, a teraz — zakończył — teraz będę spał...

Przybysz spał siedemdziesiąt godzin. Cały ten czas Gus spędził kręcąc się niespokojnie i raz po raz zaglądając do kabiny, z której niezmiennie dochodziło potężne chrapanie. Toteż kiedy ustało, Gus w mgnieniu oka znalazł się obok przecierającego oczy gościa.

— Nie śpisz? — zapytał, aby jakoś zacząć.

— Mhm — usłyszał.

— Chciałbym wiedzieć — nie ustępował — kogo mam zawiadomić i trzeba podać twoje imię...

— Zawiadomić? — obcy odzyskał przytomność.

— Właśnie, myślałem o tym, że trzeba Ziemię i stacje...

— Nigdy w życiu! — zawołał przybysz. — Ani się waż na coś podobnego!

Gus zaczerwienił się, coś ważył w myśli, wreszcie wyrzucił odważnie podnosząc oczy:

— Ale... ale regulamin!

Zapadła ciężka i złowroga cisza, którą przerwały dopiero łagodne i miękkie słowa obcego:

— Mój chłopcze... — i powtórzył — Mój chłopcze... — nic więcej, a Gus poczuł się tak nieswojo jak jeszcze nigdy dotąd. Spróbował zniknąć z kabiny, ale zatrzymały go słowa przybysza:

— Chciałbym wyjaśnić ci pewne sprawy. Spędzimy razem sporo czasu, może nawet więcej niż byśmy sobie życzyli...

— O! — powiedział Gus. — Jeśli o to chodzi, to będziemy mijali dość blisko stację na Altonie i możemy się zatrzymać. Tam jest Gulbransson i kilka osób...

— Kto? Gu... cha, cha, cha! — zaśmiewał się przybysz — Gulbransson i kilka... cha, cha! Ależ chłopcze, skąd ci to przyszło do głowy!

— Altona — odezwał się Alecho — stacja biofizyczna na czwartej planecie układu Altony, kierowana przez Gulbranssona, załoga sześćoosobowa.

— Przestań, Alecho! — zniecierpliwiał się Gus. Był urażony na przybysza. „Z czego tu się śmiać — myślał z irytacją — ostatecznie znam swoją trasę, a o Altonie wiem tyle co i wszyscy inni na Ziemi”.

— Widzę — powiedział obcy — że trzeba będzie tłumaczyć więcej niż przypuszczałem.

— Doprawdy? — powiedział z przekąsem Gus.

— Z całą pewnością, otóż, dowiedz się, że na Altonie nie ma ani jednego człowieka.

— Jak to? Jakaś katastrofa? — serce Gusa ścisnęło straszne przecucie.

— Eee, nie! — powiedział przybysz. — Wynieśli się stamtąd, kiedy zrobiło im się nudno, ale to już stara historia, dobre dwadzieścia lat temu...

— Nie! — Gus potrząsnął głową. — To niemożliwe! Chyba, że żartujesz.

— Ani mi to w głowie! Żartować? Ho, ho, na całym ciele mam jeszcze ślady niewoli u bandy Gulbranssona, a ty mi o żartach... Powiadam: Altona nie widziała ich już dobre dwadzieścia lat!

— Ja — mówił Gus czując, że wszystko kołuje mu przed oczami — ja nie mogę tego słuchać, to nie może być prawda!

— Nie? Więc patrz! — Przybysz w mgnieniu oka zsunął kombinezon i pokazał nagą skórę pokrytą bliznami i zrostami. — Patrz i strzeż się, aby nigdy nie wpaść w łapy Gulbranssona, bo nie każdy zdoła się na ucieczkę tak jak ja...

— Nie, nie, nie! — to było wszystko co przychodziło Gusowi do głowy, ale wtedy okazał swą pomoc Alecho.

— Jeśli to jest prawda — powiedział wesoło — to jakim cudem jeszcze wczoraj Ziemia nadawała audycję o pracy stacji na Altonie? Przemawiał Gulbransson i inni, słyszeliśmy ich głosy.

— Stacja na Altonie — odparł przybysz — od dwudziestu lat nie prowadzi badań, jest opuszczona i głucha. Zostały tam tylko automaty, które w rozmowach z Ziemią naśladowują głosy załogi i wysyłają fałszywe sprawozdania, które na trzydzieści lat naprzód podyktował Gulbransson, tymczasem on sam...

Gus trzymał oburącz poręcz, a czoło przykładał do ściany jakby szykując się do uderzenia nim w twardą powierzchnię.

— Podczas gdy Gulbransson... zresztą trudno mu się dziwić, to samo jest wszędzie na stacjach, stacyjkach, gdziekolwiek ktoś tkwi na planetach, globach, księżycach. Widzicie, życie nawet i tutaj może dać sporo przyjemności, ostatecznie trudno z siebie zrobić maszynę laboratoryjną, wszyscy... hm, wszyscy jesteśmy tu młodymi mężczyznami i to trzeba powiedzieć, z nie byle jaką fantazją, taaak! Więc i wydarzenia przybrały obrót nieco może zaskakujący dla tych, którzy świeżo przybywają. No, to prawda, że nie informujemy Ziemi o naszym prawdziwym trybie życia i tych... no, rozrywkach, ale i po co? Po co odbierać komuś spokojny sen?

Słowa docierały do uszu Gusa jakby z coraz większej dali, przestał je rozumieć a potem i słyszeć, ogarnęła go pustka i milcząca ciemność.

— Nie byłem osamotniony — opowiadał przybysz — wcale nie. Trzech nas dostało się w łapy Gulbranssona, jeśli nie liczyć jego dawnych współpracowników, no ale oni robili to z własnej woli, opętani bez reszty jego ideami i nikt nie potrzebował ich pilnować.

Gus słuchał nie przerywając ani słowem, nie spuszczać błyszczących, otoczonych sińskimi obwódkami oczu z twarzy mówiącego. Tylko czasem, jakby powtarzając szeptem jakieś słowo, bezwiednie poruszał bladymi wargami.

— Jako towarzysze niedoli nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, o ucieczce nie było co marzyć, więc wspominaliśmy dawne dobre czasy... Porządne chłopcy, Trifino, Zozo, Creta. Każdy z nich miał swoją historię, ba, epopeę... Każdy na swój sposób urozmaicał sobie życie, Trifino...

— Opowiedz — poprosił Gus — opowiedz mi wszystko, nic nie pomijając!

— No cóż, czasu nam nie brakuje, chcesz, będziesz miał, oto historia Trifina: Trifino był wielkim, co się zowie, zwalistym chłopem...

— Był?

— No, nie! Jest jeszcze ciągle, chociaż biedak wiele wagi stracił u tej bestii Gulbranssona... Łza się w oku kręci kiedy pomyślę, że oni teraz harują, ostatnie poty z siebie wylewając, w dodatku przekonani o mojej nędznej śmierci, a ja tu historyjki opowiadam...

Otóż, Trifino przybył w Kosmos dobre pięćdziesiąt lat temu. Nie gniewaj się, młody człowieku, ale on był też takim trochę stukniętym, ten... tego... entuzjastą. Sam wybrał sobie jakąś zakazaną okolicę nieba i ze swoją skorupą zasunął na orbitę...

— Ja nie wiem co to znaczy „zasunął”? — wtrącił się Alecho.

— Doprawdy? — zdziwił się przybysz. — Zasunął i już! U was pewnie się mówi jakoś wytworniej, trudno, musicie to ścierpieć... Zasunął, powtarzam, i odtąd mnóstwo lat kręcił się w kółko. Oczywiście coś tam robił ponadto, wyniki badań wysyłał na Ziemię, Ziemia wysyłała mu specjalne audycje i podziękowania. Opowiada, że nie minął kwartał, aby nie przyznano mu na odległość jakiegoś dyplomu, ani półrocze, żeby nie otrzymał orderu. Przyjmował do wiadomości, robił swoje i trwałoby to, diabli wiedzą jak długo, gdyby facet nie znudził się śmiertelnie takim trybem życia. I co zrobić? — Nigdy nie zgadniecie: Ziemię zawiadomił, że ma poważny defekt, potem palnął kawałem żelaza w nadajnik i wreszcie w bezpiecznej odległości od statku spowodował straszliwą eksplozję, której ślad musiał dotrzeć i do Ziemi... Cha, cha! Musiał!

— Czy mówisz — przerwał swoje grobowe milczenie Gus — o Trifino z Alkira, na statku Zefir?

— A o kimżeby innym! — krzyknął obcy waląc się dłonią w kolano. — Jest tylko jeden

Trifino w Kosmosie!

— W takim razie dowiedz się, że fale eksplozji dotarły istotnie do ziemskich anten.

— Wiedziałem! Cha, cha... Spryciarz jakich mało!

— Przyjęto je jako wiadomość o śmierci Trifina — mówił z lodowatym chłodem Gus.

— Ogłoszono żałobę i płakało po nim wielu ludzi. Pomniki Trifina stoją w wielu miejscach...

— To się nazywa stworzyć sobie alibi, co? — ryczał obcy.

— No! — powiedział Alecho.

— Od tej chwili chłopak był wolny jak ptak i pofrunął przed siebie. Najpierw chciał odwiedzić Gulbranssona, który wtedy był zupełnie inny niż teraz, potem... zresztą on sam dokładnie nie wiedział co robić z wolnością i wtedy... stało się! Trifino spotkał...

— Kogo? — nie wytrzymał Alecho.

— Raczej c o? Trifino spotkał zabłąkaną w przestrzeni, opuszczoną karawanę starych pojazdów z żaglami słonecznymi. Mam nadzieję, że wiecie o co chodzi? Uczą was tam historii?

— Pewno! — obruszył się Alecho.

— No więc to były takie właśnie śmieszne zapomniane żaglowce. Kiedyś, kiedyś, popychane promieniami naszej Gwiazdy wymknęły się z Układu i zawędrowały aż tutaj. Trifino opowiadał, że ich żagle były już dobrze podziurawione przez meteory. Wyglądały jak gigantyczne, okrągłe, kilkusetkilometrowe pajęczyny powleczone błoną tu i ówdzie wystrzępioną. Dobrze trzeba było się naszukać, aby w ich środku odnaleźć kabinę maleńką jak ziarno maku... Każdy inny na miejscu Trifina popatrzyłby, wzruszył ramionami i zasuwał dalej w swoją stronę, ale nie Trifino. On wpadł na lepszy pomysł — wziął całą flotyllę na hol i pociągnął za sobą. Kiedy zjawił się z tym na Altonie, wtedy była to jeszcze taka wzorowa, przodująca stacja, wszyscy myśleli, że oszalał, ale bardzo prędko zmienili zdanie, kiedy im wyłożył swój pomysł. Oni też byli już mocno znudzeni i Trifino spadł im jak z nieba... cha, cha! Nie minęło wiele czasu jak przekazali całą robotę automatom i wszyscy, — jak jeden mąż, ruszyli do słońc Altamiry, holując za sobą żaglowce.

— Nic z tego nie rozumiem — poskarżył się Alecho.

— O, to bardzo proste! Wiesz co to są regaty? Nie wiesz — odpowiedział sam sobie przybysz. — Nie wiesz, bo i skąd masz wiedzieć, a Trifino dowiedział się przypadkiem z jakiejś bardzo starej książki. Przeczytał w niej, że w zamierzonych czasach urządzano wyścigi łodzi na morzach i jeziorach — teraz jasne?

— Aż zanadto! — odezwał się zimno Gus. — Ale to nie koniec?

— Skądże znowu! Holowali je do słońc Altamiry, spory kawał, ale opłaciło się. Jest tam szesnaście gwiazd o silnym blasku, pomiędzy nimi chcieli rozgrywać konkursy. Już w drodze podzielili się na załogi, przygotowali dyplomy i puchary dla zwycięzców. Pierwszy wyścig odbył się bez emocji, byli jeszcze bardzo ostrożni i uczyli się dopiero manewrować żaglami, za to drugi...

W kilka dni po starcie do określonego rajdu, przed pierwszym wirażem, w pobliżu trasy nastąpiła eksplozja gwiazdy supernowej... Zawsze, zawsze będę żałował, że mnie tam nie było. Trifino mówi, że najniespodziewaniej w świecie dostali w żagle takie uderzenie światła, iż w mgnieniu oka cała flotylla została rozgoniona. On sam miał tyle przytomności umysłu, że odczepił połowę żagla, ustawił się skośnie do straszliwej ulewy blasku i przetrwał jego maximum. Zdołał potem powrócić na trasę i w świetnym stylu wygrał bieg. Jeszcze kilku dobrnęło za nim, ale resztę załóg zupełnie wyczerpanych zbierali z dala od trasy. Z żaglowców niewiele pozostało, zresztą to było dla nich już za mało i zaczęli się pilnie rozglądać za czymś mocniejszym. Rozumiecie mnie chyba, to wciąga, nieprawdaż?

— Rozumie się! — odparł Alecho. — Dlaczego teraz nie ma już żaglowców?

— Widzę, że cię bierze, poczekaj!... Trifino znalazł coś lepszego. Z Altony wysłali na Ziemię piękny raport o wybuchu supernowej, w części zmyślony, bo nikt go nie obserwował,

a kiedy przyszła odpowiedź z gratulacjami, przedstawili program nowych badań i zażądali wyposażenia. Oświadczyli, ni mniej ni więcej, że dla zbadania obłoku ciemnej materii zwanej Głową Byka, pragną oświetlić go rozpylając fluoryzujący proszek. Genialny Trifino! I co przyszła Ziemia?

— Proszek?

— Piętnaście wielkich statków transportowych, klasy Superior, o szybkościach podświetlnych, wyładowanych po brzegi proszkiem.

— Nic w tym genialnego — odezwał się lodowato Gus.

— Ba, zaraz zmienisz zdanie. Nikt nie zawracał sobie głowy Głową Byka, pomiędzy Algah i Tener, na długości trylionów kilometrów wytyczono trasę Wielkiego Slalomu. Wytyczono ją ogromnymi pierścieniami świecącego czerwonego proszku, zawieszonymi w przestrzeni. Same statki, po opróżnieniu z ładunku, zaopatrzone w paliwo, na burtach wymalowano im numery i znaki klubowe, bo trzeba wam wiedzieć, że na miejsce startu przybyła nie tylko załoga Altony! Idea Trifina okazała się piekielnie zaraźliwa... Kogo tam nie było! Ściągnął ze swojego posterunku Kink z asystentami, z szóstego sektora ludzkie Nokarda, osławiony, legendarny Muslagh z Elanty Beta...

— Nie! — wyrwało się Gusowi. — Nie wierzę!

— Nie? Widzę, chłopcze, że za bardzo się tym przejmujesz, gotów jesteś dostać znów gorączki, może lepiej...

— Mów dalej — powiedział twardo Gus. — Nic mi nie jest.

— Legendarny Muslagh z Elanty Beta — powtórzył przybysz dobitnie — sam zasiadł u sterów maszyny i okazał się jednym z najlepszych zawodników. Krótko mówiąc — Kosmos opustoszał. Na opuszczonych stacjach i stacyjkach tykały liczniki promieniowania, meteory bębniły po kopułach ochronnych, zaś niezawodne automaty rozmawiały z Ziemią, która nic nie podejrzewała...

Maszyny ruszały ze startu w odstępach dziesięciosekundowych. I wyglądało to jakby piorun za piorunem wpadał w tunel czerwonych świateł i mknął w obłądnym pędzie kładąc się na straszliwych wirażach, które ludziom wyciskały krew z mózgu. Widzowie, bo dla wszystkich chętnych nie starczyło maszyn, skupieni przy ekranach widzieli jak niektóre z nadmiernie rozpędzonych superiorów wypadały z wirażu, wyskakiwały poza świetlny tor i bodły niebo ściegami spalin wytracając szybkość — dla nich wyścig był skończony. Ale inne pociski mknęły prowadzone po mistrzowsku zwijając się w gigantycznych spiralach, rozpędzając na prostych, zamiatając rufami na wielokrętnych wirażach...

— Cudowne! zawołał Alecho i zamilkł przytłoczony kamiennym spojrzeniem Gusa. Ale przybysz nic nie zauważył.

— Mało cudowne! — mówił. — Wspaniałe, upajające! Ci przy ekranach szału dostawali z emocji, walili się po plecach i włosy z głów wyrywali na myśl, że przez tyle lat wystarczyło im ślęczenie w zabitych blachach stacyjkach... Tak, chłopcy...

— Proszę? — zdziwił się Alecho.

— Tak, moi drodzy — poprawił przybysz — to było jak zaraza. Urządzano wyścig za wyścigiem, coraz trudniejsze i bardziej ryzykowne, ten i ów nawet ginął, a Ziemia stawiała mu pomniki sądząc, iż „na posterunku”. Trifino był wielki i w owych dniach kapał się w sławie większej niżby to było możliwe dla kogokolwiek na Ziemi... Wielu próbowało go naśladować, ale nie wszystkie pomysły były tak udane. Na przykład Zozo, który... ale to już jest historia na jutro!

— Zozo, moi drodzy, to był kawalarz co się zowie! Zawsze milczący i poważny, nawet mrugnięciem powieki nie zdradzał co knuje. To on wprowadził modę posyłania sobie nawzajem paczek o jakiejś dowcipnej zawartości. Biedny Zozo — przybysz pokiwał ze smutkiem głową — nikomu już nic nie pośle ze swojej niewoli... Chciałbym dostać go w swoje łapy...

- Kogo? — zapytał ze zdumieniem Alecho.
- Gulbranssona! Nic już więcej nie pragnę...
- Wciąż mu wygrażasz — odezwał się Gus — a nie mówisz dlaczego.
- Naprawdę? Czyżbym jeszcze nic nie powiedział?
- Ani słowa! — zapewnił gorąco Alecho.

— No, ale i tak najpierw skończ historię Zozo. Wysyłał przyjacielom pudełko nie większe od dłoni, które po otwarciu wytwarzało taką ilość piany, aż wypełniała w niewielu sekundach całą hermetyczną stację, a ludzie, zanim ją wygarnęli na zewnątrz, przez kilka dni pracowali w skafandrach przy otwartych lukach.

- To było takie śmieszne? — zapytał chłodno Gus.
- O jej! — zawołał Alecho. — Strasznie! — Nie bądź taki ponury!
- Jeszcze jak! — powiedział przybysz. — Albo przemycona niepostrzeżenie kulka o

wymiarach orzecha, unosząca się swobodnie w pomieszczeniach stacji, a za zbliżeniem się człowieka wydająca ryk rozwścieczonego tygrysa, można było od tego dostać ataku hysterii, nie? Nie? — powtórzył.

Gus milczał zawzięcie.

- I co jeszcze? — dopominał się Alecho. — Powiedz coś jeszcze!

— Rozgadałem się — rzekł przybysz. — Nie namawiaj mnie, bo będziesz żałował, trudno mnie będzie zatrzymać... Zozo miał szefa, biologa, który sam siebie zwolnił z obowiązku prowadzenia dotychczasowych badań i podjął z Zozem produkcję osobliwych prezentów. Były to zwierzęta wyhodowane na ich stacji, ale należące do gatunków, o jakich nikt na świecie nie słyszał, ładowali je do klatek i posyłali kolegom. Przez pewien czas cały nasz światek pasjonował się nadawaniem nazw przedziwnym stworom. Biolog był zdolny, jak to rzadko bywa w naszych czasach, i produkował gatunki i odmiany, które najobojetniejszych wtrącały w osłupienie...

- Jakie? Powiedz! — błagał Alecho.

— Różne. Najpierw były to zwykłe mieszanki: żaba na dwunastu mysich nogach z końskim ogonem, albo mały piesek z indyczą głową i na kaczych łapach, ale z czasem poszedł dalej — stworzył zwierzęta, które nie przypominały w ogóle niczego żyjącego. I wtedy zaczęło się szaleństwo. Kto żyw hodował stwory biologa i Zozo. Stacje zapełniły się potworkami, szalała giełda wymiany, pasjonowano się konkursami. Co prawda pewnego dnia zaczęło to być uciążliwe: sięgałeś po tubę z napojem, a ona kasała cię w palec i szczerząc zęby odbiegała po ścianie. Kamień, zwykły kamień leżący pośród okazów skał z jakiegoś nieznanego globu mógł nagle pisnąć i bez ostrzeżenia wbiec ci po ręce do rękawa...

Biolog dokonywał cudów, dawniej ponury jak noc, teraz stał się radosny jak dziecko. Powtarzał naokoło, że dotąd marnował swoje możliwości, śmiał się na samą myśl, że kiedyś pragnął przesłać na Ziemię swoje prace. „Teraz, ani mi to w głowie — powtarzał. — Kto kiedy się na tym pozna? Tu, czuję, że jestem pożyteczny!”. Śmiał się coraz częściej a wreszcie dostał lekkiego pomieszania zmysłów i wykonał swój ostatni pomysł. Mój pocziwy Zozo pomagał, nie wiedząc jeszcze, że szef jest stuknięty.

- Jaki? — zapytał Alecho, ale nie dostał odpowiedzi.

— Biolog przekonał swoją załogę — grzmiał grubym głosem przybysz — że jest od nich mądrzejszy, sprawniejszy i więcej wart. Ale nie robił tego, aby ich pognębić. Kiedy już byli dość pokorni i smutni, oświadczył, że podniesie ich do swego poziomu, mało! Że uczyni ich sobą! Pojmujecie?

- Nie! — oświadczył krótko Gus.

— Oni też nie pojęli, ba, nie rozumieli nawet jeszcze wtedy, kiedy zaczęła się operacja. Zozo uspił wszystkich, a następnie przy pomocy bio-kabla połączył organizmy swoich trzech kolegów z biologiem, równocześnie dokonując drobnych zmian w ich centrach mózgowych.

- To jest zabronione — powiedział Gus bezbarwnym tonem. — Bezwzględnie zabro-



nione.

— Mamy tu własne prawa, chłopcze — rzekł łagodnie obcy.

— Prawo jest tylko jedno! — wtrącił szybko Alecho.

— A ty bądź cicho — mruknął przybysz i wrócił do opowieści.

Kiedy zbudzili się po operacji, Zozo omal nie umarł ze śmiechu: wszyscy czterej przetarli oczy prawą ręką, ziewnęli i tknięci jedną myślą sięgnęli dłońmi do karków, gdzie trafili palcami na łączący ich kabel.

Wówczas też wszyscy czterej spytali równocześnie: „Udało się?” Nigdy nie było bardziej udanej operacji! Odtąd każda myśl biologa była ich myślami. Kiedy on był głodny — oni także, śpiący — oni też. Kiedy drapał się w głowę, jego ruch powtarzały trzy inne dłonie. „Nie martw się — mówiły cztery głosy do Zozo — pewnego dnia i ciebie przyłączymy jako piątego, ale przedtem musisz dokonać dalszych faz operacji”. Zozo udawał wdzięcznego, ale na śmiech mu się już nie zbierało. Zaczął miewać koszmarnie sny, na noc zamykał się w pancernej kabinie, a w dzień unikał czworogłowego potwora jak tylko się dało. Nie mógł jednak odmówić dalszej współpracy i własnymi dłońmi połączył krwiobiegi kolegów z biologiem. Tym samym podpisał wyrok. „Teraz — mówili mu — kolej na ciebie, kładź się, a my zrobimy co trzeba i chętnie zniesiemy nawet niewielki ból.” Biedny Zozo może by uległ namowom, ale kiedy sobie wyobraził cztery ręce sięgające równocześnie po jedno narzędzie chirurgiczne — zdecydował raczej umrzeć z głodu w swojej kabinie niż pozwolić się schwytać hydrze. Zamknął się więc z bijącym sercem i zdesperowany do ostateczności słuchał przez drzwi strasznego czterogłosu namawiającego łagodnie do wyjścia. Szczęściem słowa ucichły, po nich nastąpił bełkot i odgłosy jakby szamotania się. Zozo nie wytrzymał, wystawił głowę i zrozumiał: biolog miał padaczkę, a wraz z nim trzej inni związani przewodami miotali się w ataku epilepsji.

Chwila była jedna, Zozo wypuścił na nich cały zapas gazu usypiającego, potem przeciął bio-kable i przywrócił wszystkich do dawnego stanu. Zanim się ocknęli, wsiadł do małej rakiety i uciekł do Gulbranssona ...

— Nareszcie! — powiedział Gus.

— Nie mógł wcześniej — zaczął tłumaczyć przybysz, lecz Gus mu przerwał:

— Mówię o Gulbranssonie.

— Gulbransson... No tak, ale to już następnym razem. Że też tu nie ma nic do picia...

— Creta był zupełnie inny niż tamci dwaj — zaczął obcy.

— Nic mnie to nie obchodzi — przerwał ostro Gus.

— Mogę nic nie mówić...

— Ja będę słuchał — powiedział Alecho. — Mnie to zajmuje.

— Miałeś opowiedzieć o Gulbranssonie — zauważył Gus. — Chciałbym wiedzieć dlaczego nazwałeś go bestią.

— Ależ! — zawołał przybysz — ależ ja o nim właśnie mówię, a zacząć muszę i tak od Crety. Zaczynasz być dla mnie nieuprzejmy — powiedział z wyrzutem.

— Moja sprawa — warknął Gus.

— Jak chcesz — westchnął przybysz. — Creta był artystą. Wędrował od stacji do stacji, siedział parę lat, malował, aż kiedyś zabrał się do rzeźby. Kazał łowić w przestrzeni kawały zastygłej lawy, metaliczne czerepy, odłamki skał i z nich rzeźbił co mu tylko do głowy przyszło. Kiedyś zrobił własny wizerunek, ale, że nie wypadł dobrze, wyrzucił go poza stację. Był wtedy u Gulbranssona. Ktoś z załogi zauważył to i zaczął się śmiać z Crety, że nie tylko nie zniszczył swojej marnej podobizny, ale przeciwnie, utrwalił ją raz na zawsze. Creta nie był rozgarnięty, ale zrozumiał wreszcie, że taka bryłka bazaltu ma szansę przetrwać miliardy lat unosząc się w Pustce i Mroku. Było mu cudownie z tą myślą, iż w jakiś sposób zbliżył się do nieśmiertelności, a być może, inni ludzie z pokoleń, które nastąpią, wyłowią jego głowę, która

przetrwiała Śmierć i Czas i dowiedzą się o rzeźbiarzu, który był.

Creta jak oszalały wziął się do roboty, chciał stworzyć rzeźbę, która nie tylko odda jego rysy, ale i potęgę ducha. Obstawiał się lustrami, rzeźbił i wciąż był niezadowolony. Ale, że większa ilość głów dawała większe szanse przetrwania, wszystkie, nieudane nawet, wypuszczał w Przestrzeń.

Na takiej małej stacji jak Gulbranssona, nic się nie da ukryć, niebawem wszyscy wiedzieli o manii Creta i wszyscy ulegli zarazie. Creta nie mógł już zajmować się tylko sobą, musiał pomyśleć o unieśmiertelnianiu towarzyszy.

Wprawę miał ogromną, rzeźbił szybko i coraz to nowa głowa odrywała się od samotnej stacyjki, aby nieść między gwiazdy wieczną chwałę modelu i rzeźbiarza. Biedny maniak...

— Tak sądzisz? — powiedział dziwnym tonem Gus.

Przybysz wzruszył ramionami.

— Jeśli nie biedny, to w każdym razie nieszczęsny, sam nie wiedział co ściąga sobie i wielu innym na kark. Na stacji panował wielki ruch. Właśnie przybył Zozo, a po nim zjawiłem się ja sam.

— O! — przerwał Gus. — Byłeś dotąd bardzo skromny, ani słowa o sobie...

Przybysz puścił uwagę mimo uszu i opowiadał:

— Niebawem powrócili z dłuższej wyprawy sam Gulbransson z Trifinem. Podobno, jak mówiono, organizowali na którejś stacji konkursy strip-teasu, cha, cha...

— Cha, cha! — zawtórował Alecho i ucichł.

— A ty z czego się śmiejesz? — zapytał przybysz.

— Nie wiem — przyznał się Alecho. — Powinieneś mi wytłumaczyć.

— Musiałbyś najpierw wiedzieć co to jest kobieta...

— Wolałbym — odezwał się sucho Gus — żebyś nie zmieniał tematu.

— Zaczynasz być nudny — powiedział przybysz.

— Doprawdy? — Gus uśmiechnął się zjadliwie. — Tak sądzisz?

— Słowo daję, ale co zacząłem, to już skończę. Teraz będziesz miał już tylko Gulbranssona: dość było mu trzech minut rozmowy z Cretą. Następnego ranka Creta, Trifino i ja zbudziliśmy się jako więźniowie Gulbranssona i jego ludzi.

— Nowe bezprawie — zauważył Gus.

— Phy! — parsknął przybysz. — A któż by tu praw dochodził! Ziemia daleko...

— A jednak — powiedział Gus — kiedyś, jakiś przypadek zdradzi to wszystko.

— Przypadek? Wątpię, wszyscy bardzo się pilnują.

— A jeżeli — upierał się Gus — dotrze do Ziemi jedna zabłąkana rozmowa radiowa, taka, która wszystko ujawni?

— Och, jeszcze jest tysiące sposobów wytłumaczenia, że to żart, a wreszcie zanim nas tu osiągną...

— Dobra! — Dobra jest!

— Uspokoilem cię? — zapytał ironicznie przybysz.

— Zupełnie — odparł jakoś dziwnie Gus, nie patrząc mu w oczy.

— Gulbransson przewiózł nas w sobie tylko znane okolice nieba. Kiedy otworzono luki i kazano nam wyjść, stanęliśmy na powierzchni zupełnie nieznanego nam globu, pod niebem głęboko zielonym, w promieniach nie znanego słońca, które zapadło właśnie pod horyzont. Gdy poczęło się zmierzchać, z rakiety wyszedł Gulbransson. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że to jakiś nowy kawał, więc Trifino, który dawniej był z nim najbliżej, powiedział: „Słuchaj, stary, bardzo to zabawne, ale nam ręce już zdrętwiały i bardzo chętnie byśmy wrócili do naszych dawnych skafandrów. Może nie są tak eleganckie, ale przynajmniej można się w nich swobodnie poruszać.” Gulbransson uśmiechnął się na to i odrzekł: „Wkrótce zażyjecie ruchu, aż nadto... Trifino stracił panowanie nad sobą, szarpnął się i okrzyknął: „Zdejmij mi to natychmiast! Zrozumiano?”

„Zamknij się — odparł Gulbransson cicho, ale takim tonem, że odechciało nam się awanturować. — Zaraz się dowiecie, po co was tu przywiozłem. Patrzcie tam...”

Ponad horyzont na ciemniejące niebo wstępował ogromny krąg księżyca.

Płynął nad nami rozjarzony pomarańczowym blaskiem, a po piętnastu minutach ujrzeliśmy, iż druga tarcza podobnej wielkości wynurza się spod osłony globu i szybko sunie ku zenitowi.

Wówczas spod horyzontu wychynęła trzecia pomarańczowa kula i wszystkie razem dążąc jednostajnym ruchem, zwrócone ku nam wciąż tą samą stroną, zbliżały się ku zachodowi.

Gulbransson nie spuszczał z księżyców błyszczącego wzroku. „Patrzcie! — zawołał. — Patrzcie, bo ostatni raz je tak widzicie!” Ładna historia! — pomyślałem wtedy. Kto by przypuścił, że z nami aż tak źle! Ale moje podejrzenia okazały się niczym w porównaniu z rzeczywistością. „Te trzy księżyce — wołał Gulbransson w uniesieniu — zamienię w trzy ludzkie głowy! Moje głowy! Nikt nigdy i nigdzie nie miał podobnego pomnika, to będzie dzieło godne epoki i godne człowieka! Są trzy i będą trzy oblicza, a każde widoczne w inny sposób: z przodu, z ukosa i z boku!”

Creta, jedyny z nas, który miał jasne pojęcie, czym jest rzeźbienie, na widok owych brył litego kamienia o średnicach paru tysięcy kilometrów, zamknął po prostu oczy i tkwił tam błąd jak trup. „Creta! — krzyknął Gulbransson. — Patrz na nie! Wyobraź sobie, że dzieło już skończone... Nie wstyd ci teraz dawnej dhubaniny? Kawalek kamienia byle kiej obrobi, a i to sądziłeś, że zyskujesz nieśmiertelność. C o w takim razie ja zyskam?”

Przez kilka dni Gulbransson pozował. Creta lepił model głowy, który miał być wiernie skopiowany w monstualnych powiększeniach.

— Uważasz — spytał Gus — że to możliwe?

— Z pewnością, Gulbransson przemyślał szczegóły.

— No tak, ale podobieństwo...

— O, z tym najmniejszy kłopot!

— Doprawdy? — Gus chłodno wyraził powątpiewanie.

— Zupełny drobiazg. Powierzchnie księżyców podzielił na trójkątne sektory, tak samo jak i mały model na drobne trójkąci.

— To zaczyna być ciekawe — zachęcił przybysza Gus. — Mów dalej.

— Teraz wystarczyło tylko ustalić, ile skały usunąć z każdego trójkąta, podobieństwo zjawiłoby się samo.

— No tak, ale jak usunąć?

— To j a k — odrzekł przybysz — poznałem na własnej skórze. Gulbransson nie miał dość automatów. Wierciliśmy otwory, zakładało się materiały wybuchowy i eksplozja wyrzucała zbędny materiał w stronę planety, która ściągała pył i rumosz skalny. Chowaliśmy się wówczas w zagłębieniach terenu i to były jedyne chwile wytchnienia. Potem wracaliśmy do świdrów i męka zaczynała się na nowo. Ostre odłamki przebijały kombinezony i raniły skórę, nieznośny jazgot i terkot wiertarek doprowadzał do szału...

— Wiertarki? — zapytał Gus. — Jakie?

— Znasz się na tym? — odpowiedział pytaniem przybysz. — Nie widać tego po tobie — spojrzał krytycznie.

— O — odrzekł Gus wymijająco — ty jesteś z pewnością specjalistą...

— Myślę, że tak! Cha, cha! Szczególnie jeśli chodzi o typ strumieniowy...

— Cha, cha! — Gus zawtórował mu krótko.

— Pilnowali każdego naszego kroku, nie było znikąd nadziei.

— A jednak uciekłeś.

— Krok był szaleńczy, wskoczyłem do małego statku Gulbranssona i dałem pełną szybkość, cóż z tego, kiedy już po godzinie zaczęli mnie doganiać większym pojazdem. Zdecydowany na wszystko, otworzyłem wyjście na zewnątrz i odepchnąłem się nogami od burty.

Bardzo prędko straciłem statek z oczu, zaś lecący za nim Gulbransson, mnie przegapił. A po kilkudziesięciu godzinach spotkałem...

— To już znam — przerwał Gus.

— I tak kończy się cała historia.

— Bynajmniej! — zaproponował Gus. — Nie tak prędko!

— Czyżbym coś opuścił? — przybysz uniósł brwi.

— Nie! Teraz ja chcę coś dodać...

— Gus, jest Ziemia na antenie — powiedział Alecho.

— Dobrze. Nie zwracaj teraz głowy, powtórzysz potem.

— Ale oni chcą z tobą mówić — nastawa! Alecho.

— No to dawaj szybko.

— UWAGA! — usłyszeli — UWAGA! TU ZIEMIA! UWAGA NUMER 14 25! ZABRANIA SIĘ BEZWZGLĘDNIE WSZELKIEGO KONTAKTU Z INNYMI STACJAMI ASTRO! WYKONYWAĆ ZADANIE JEDYNNIE W ŁĄCZNOŚCI Z ZIEMIĄ! POWTA-RZAM...

— Wyłącz! — syknął Gus. — Spóźnili się trochę...

— A więc jednak stało się! — powiedział przybysz. — Klapa!

— O — powiedział Gus — sam twierdziłeś, że nie tak prędko nas tu osiągną...

— Pewno, że nie, tego się nie boję.

— A więc świetnie się składa — mówił Gus tonem coraz bardziej złowrogim — bo widzisz z tym rzeźbieniem, to naprawdę niezły pomysł, taki prawdziwie wieczny pomnik, a tam w pobliżu Deneb, gdzie lecimy, jest podobno nieduża planeta. Myślisz... myślisz, że potrafiłbyś mój portret? Ty, taki specjalista... Alecho! Trzymaj go!

— Do licha — powiedział Alecho. — Nie za mocno dostał?

— Skądże, przyjdzie do siebie. — Tylko ogłuszony... Alecho? — zapytał Gus. — Jak mi radzisz, bo sam nie mogę się zdecydować: „z przodu” czy „na trzy czwarte”?

— Najlepiej profil!

— Oszalałeś chyba! Z moim nosem? Jesteś poczciwym robotem, Alecho, ale o sztuce nie masz zielonego pojęcia!

## SPIS TREŚCI

Babcia-robot przy kominku	02
Exodus	03
Trzy razy dziennie	06
Najwierniejszy przyjaciel człowieka	10
Czerwonogłowi	16
Światła biegną przez kosmos	26
Niezniszczalne	37
Trolejbusy przed śniadaniem	42
Towarzyszka kosmonauty	45
Nasi ludzie w kosmosie	56